



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA

Zima dmuchnęła już pierwszymi mrozami, lada dzień przysypie nas puchowa pościółka śniegu i zaczną się nowe skargi na biedę, nędzę, i wszelakie dolegliwości.

Tak bywa co roku, tak będzie i teraz, a kto wie, czy nie gorzej, niż bywało.

Filantropia zakasuje rękawy i bierze się już do roboty, bo to jej sezon nadchodzi; rautów, wieczorów, koncertów na cele dobroczynne mamy zapowiedzianych sporo.

W Teatrze Wielkim odbyła się jakby inauguracja zimowego sezonu porankiem dramatycznym na dochód Królikowskiego, w którym Żółkowski, jako gwiazda męskiej, a p. Popiel-Swięcka żeńskiej konstellacji pozostałych talentów scenicznych udział przyjęli.

Zebrało się z tego poranku 3.000 rs., dla poratowania chorego artysty, a summa ta, jak na dzisiejsze warunki, świadczy najpochlebniej o wielkiej sympatyi, współczuciu i uznaniu naszej publiczności dla znakomitego tragika, który niezastąpionym może długo pozostanie na naszej scenie, gdy z niej zejść będzie musiał bezpowrotnie.

Na przyszłą niedzielę znów afisze zapraszają publiczność do sal reutowych na doroczny koncert studencki; ma on swoją wyrobioną tradycją a młodzież uniwersytecka z całym zaufaniem odwołuje się zawsze do obywatelskich uczuć Warszawy po pomoc, bo wie, że jej się ona słusznie należy.

Nie wątpimy, iż sale reutowe zapełnią się po

brzezi, a zasilek pieniężny będzie znaczny, bo tak dla celu, jak i dla programatu i talentów biorących udział w koncercie warto poświęcić czas i pieniądze. Żółkowski, tak rzadko pojawiający się na estradzie, Wisnowska, Marcellówna, Barcewicz, świetny pianista wiedeński Grünfeld, orkiestra teatralna, wypełnić mają programatu ułożony starannie i z artystycznym smakiem.

Nie dadzą się im zwabić chyba ci, którzy uszy swe i kieszenie zachowują na ofiarę dla Adeliny Patti, niezrażonej nader wytłomaczoną opozycją, jaką rozsądniejsza część publiczności i krytyki postawiła przeciw jej występom na naszej scenie po cenach tak niesłychanie wygórowanych.

Mimo to *primadonna* przyjeżdża i raczy zaśpiewać dwa razy w tejsamej Warszawie, którą przed laty uważała za zbyt małą dla jej wielkiej sławy i talentu i nie chciała nawet na pieniądze na cel filantropijny przyjąć udziału w koncercie wówczas projektowanym.

Dzisiaj każe sobie płacić po 75 rs. za łożę, a po 2 rs. za miejsce na Paradyzie; z wysokich ambicji i zarozumiałości spuściła trochę, ale z ceny nie i ufna w magiczny wpływ swego imienia spodziewa się zapełnionej sali.

Może się grubo omylić i tego sobie, nietylko jej, życzymy, bo w przeciągu dwóch wieczorów wyrzucić z kraju kilkanaście tysięcy rs., to w dzisiejszych naszych interessach nie byłoby już szaleństwem, ale po prostu grzechem.

Dyrektor bruxelskiej opery wprost, podobnie jak w Paryżu, odrzucił wygórowane warunki *Divy*, ze względu na niezbyt kwitnące stosunki finansowe w Belgii, dla przejednania zaś publiczności, pozbawionej „rozkoszy usłyszenia Patti“, całkowitą sumę żadaną przez impresaria śpiewaczki za jej występy przeznaczył na podwyższenie płacy ubogo uposażonych chórów teatralnych.

Redakcja *Kuryera Warszawskiego* dała bar-

dzo dobry przykład, przeznaczając cenę biletu swojego sprawozdawcy na cele dobroczynne i zapowiedziała, iż recenzji o występach za kosztownej primadonny nie pomiesci; postępek to rozumny i wobec naszego ekonomicznego położenia uczciwy.

Można być szczęśliwym i bez usłyszenia Patti pod koniec jej świetności; nie ubliży to ani publiczności warszawskiej, ani melomanii syreniego grodu, jeżeli w czasach, w których każdy sam cienko śpiewa, europejska śpiewaczka zrobi... finansowe *fiasco* w Warszawie, chyba uważamy się za bogatsze miasto od Paryża i Bruxelli, a jeśli nie za bogatsze, to za bardziej lekkomyślne i rozrzutne.

Muzyki, nawet dobrej, nie brak nam w tych czasach: mamy koncerty symfoniczne w Teatrze Wielkim, mamy popularne wieczory środowe w Towarzystwie Muzycznym, mamy popisy estradowe przyjezdnych artystów po normalnych cenach; nie mamy, co prawda, świetnej opery, ale tracimy przecież nanowo głowy dla operetki, mniej zasłużonej, niż szczęśliwej—czyż tego nie dosyć?

Dzień 5-tej Cecylii, przypadły w ubiegłą niedzielę, odznaczyły dwie nasze instytucje w uroczysty sposób: konserwatorium pod kierunkiem dyrektora Zarzyckiego i Towarzystwo Muzyczne pod wodzą p. Noskowskiego; w dwóch kościołach wykonano dwie msze, jedną (piotrowską) Moniuszki, drugą Gounod'a. Wieczorem w salach reutowych odbył się raut z improwizowanym programmatem, urządony staraniem komitetu Towarzystwa Muzycznego przy licznych udziałach artystów, literatów, dziennikarzy i melomanów.

Ostatnie wulkaniczne wstrząśnienia w łonie tego Towarzystwa korzystnie oddziaływały na jego żywotność i rozbudziły nową energią w ospałym i obezwładnionym organizmie.

Będzie to może początkiem nowej, a pomyślniej-



szej ery w historii rozwoju tej instytucji, która ma na celu: krzewić zamiłowanie do muzyki środkami popularnymi i dawać łatwą sposobność przyjemnej i pożytecznej rozrywki swoim członkom.

Słyszeliśmy, jakoby p. Noskowski nosił się z praktyczną myślą urządzenia chóru dziecięcego w Warszawie; zagranicą śpiew należy w szkołach średnich i niższych do obowiązkowego programatu wychowawczego, jako jeden ze środków kształcenia smaku fizycznego rozwoju młodzieży.

Uważają go tam za pewien rodzaj gimnastyki płuc; nadto przyczynia się taka wczesna nauka do wyrabiania głosów i muzykalności w młodszym pokoleniu.

U nas obowiązkowo wszczepia się tę muzykalność głównie w córki, które jeżeli mają być „dobrze“, muszą koniecznie grać na fortepianie, choćby do tego żadnej zdolności nie posiadały, fortepian uchodzi tu, jako jeden z nieodzownych szczegółów do wyprawy z uszczerbkiem często wielu potrzebniejszych i praktyczniejszych rzeczy. Potem lata całe bywa meblem w salonie bezużytecznym, chyba kiedyś ktoś z gości zasiądzie do niego, by wyręczyć gospodynię domu, noszącą tylko tytuł muzykalnej.

Ten warunek edukacji w gruncie rzeczy bywa przesadą, drogo niekiedy opłacany; prawda, że i metrowie muzyki żyć z czegoś muszą, choćby z naiwności elewów, którym się zdaje, iż posiadają talenta kolosalne, bębniąc kilka godzin dziennie po klawiaturze, zanim się przekonają o bezowocności tych trudów.

Nie mamy nic przeciw kształceniu prawdziwych talentów, przeciw rozbudzaniu zamiłowania do muzyki, byle potem pewne dane były, a nie próżność, albo moda na stratę drogiego czasu i droższych dziś od niego pieniędzy narażały.

W ostatnich czasach kobiety wypełniają programat swojego wykształcenia praktyczniej szemi przedmiotami, np. nauką malarstwa, i dobrze czynią; na wystawie szkiców, otwartej przed kilku dniami przy ulicy Królewskiej w lokalu stałej wystawy starożytności, spotykamy już liczny zastęp uzdolnionych pracowniczek w tym kierunku, pomiędzy którymi zwracają uwagę smakiem, starannością wykonania i dobrymi pomysłami panie: Kotarbińska, Powsik, Miniewska, Kanigowska, Lewenberg, Rudnicka, Łapińska i inne.

W porównaniu z udziałem sił i talentów kobiecych w latach ubiegłych znaczny to i pomyślny postęp.

Wystawa wogóle przedstawia się nader zajmująco i pokaźnie, już samo pomieszczenie wśród zbiorów starożytnych wpłynęło korzystnie na jej wygląd zewnętrzny. Przeszło czterysta okazów zebrano w trzech salach, poczynając od dowcipnych drobiażdżków, malowanych na muszlach, aż do obrazów wykończonych zupełnie, chociaż pod skromną nazwą szkiców nadesłanych z Warszawy, Krakowa, Monachium a nawet z Rzymu i Paryża.

Wystawy malarskie tego rodzaju, były dobrym pomysłem i opłaciły się należycie; za ich pośrednictwem szersza publiczność mogła przyjść do posiadania tanim kosztem prawdziwych utworów talentu, zasilając w zamian pustą zazwyczaj kasebę naszych artystów.

Żadny szkic więcej wart bywa niekiedy od obrazu, a w każdym razie od oleodruków i rozmaitych bohomasów, którymi często obwieszono sąściany nawet zamożniejszych domów, ku niezbyt zaszczytnemu świadectwu dobrego smaku i poczucia piękna ich właścicieli.

Mogą zatem takie peryodyczne wystawy korzystny wpływ i pod względem estetycznym wywierać na publiczność naszą, rozbudzić w niej szlachetniejsze pojmowanie sztuki, wywołać powoli poczucie obowiązków względem rodzimej sztuki i przekonać uprzedzonych, że nie potrzeba koniecznie wyjeżdżać zagranicę po ozdoby salonu lub upiększenie prywatnej galerii.

Przywykliśmy tak naslepo wierzyć, iż tylko u obcych spotkać się można z utworami prawdziwego talentu i dobrego smaku, że do bardzo niedawno nie chcieliśmy się sami przekonać, czy

przynajmniej cudzych wzorów naśladować nie potrafimy; jedno, drugie powodzenie na szczęście zaczyna nas ośmielać i może powoli dowiedziemy sobie, że „nie sami święci garnki lepia“.

W tych drobiażkach, szkatułkach, ozdobionych zręcznym malunkiem, parawanikach, wachlarzach, muszelkach z widokami widnieją nader pocieszające objawy gustu i pracowitości; to osobny rodzaj sztuki przystosowanej do galanterii, za którą drogą płaciliśmy zagranicznym dostawcom.

Niemcy bacznie spoglądają na nas przez międzę i gdzie tylko dojrzą jaką niezajętą placówkę w przemyśle albo handlu, próbują obsadzić ją natychmiast.

Spostrzegłszy np. wzrastające u nas od pewnego czasu zamiłowanie do kwiatów, próbowali już zasypać nas swojemi... różami i przyselali w tych dniach swego agenta do Warszawy z poleceniem wybadania stosunków i założenia składu kommissowego.

Przedsiębiorstwo się nie udało; bo żaden z naszych ogrodników, nie chciał przyjąć niemieckich propozycji i robić sobie i innym niepotrzebnej konkurencji.

Podczas ostatniej wystawy ogrodniczej powstał projekt zawiązania „spółki owocowej“, który obecnie przechodzi do skutku; nie jest to dość ściśle wyrażenie „spółka owocowa“, ale mniejsza o to, jeżeli z dziedziny projektów przejdzie w dziedzinę dokonanych faktów.

Chodzi o utworzenie przedsiębiorstwa dostawy i handlu dobrami owocami krajowemi, zamiast sprowadzaniem do nas z zagranicy, albo z głębi cesarstwa. Przepłacamy tyrolskie jabłka i gruszki, a pozwalamy najubożniej upadać tradycyjom dawnych sadów naszych. Wspólny interes i widoczna korzyść wpłynęłyby zapewne pomyślnie na otoczenie większą dbałością i opieką tej gałęzi gospodarstwa wiejskiego, którem naprawdę mało kto dzisiaj się zajmuje.

Towarzystwo ogrodnicze wydało w tych dniach odezwę do wszystkich, którzy praktyczność zawiązania takiej spółki uznają; spółka uważać się zaś będzie za istniejącą, gdy do niej przystąpi najmniej pięćdziesięciu uczestników. Dotąd jest ich zaledwie kilkunastu; spodziewać się wszelako należy, że bezpośrednio zainteresowani w tej ważnej sprawie właściciele sadów prowincjonalnych zechcą dla własnej korzyści licznie przystąpić do nowo zawiązującej się spółki, której działalność tylko wtedy będzie doniosłą, gdy się oprzeć zdoła na wielu uczestnikach.

Ostatni termin nadsyłania piśmiennych deklaracji oznaczono na dzień 1 szty Stycznia, r. 1886. (adres Towarzystwa Ogrodniczego: Chmielna 14).

Tymczasowo chodzi o członków, później dopiero odbędzie się ogólna narada, na jakich warunkach i zasadach spółka ma działać i organizować się. Nic się zatem nie ryzykuje na dobrej chęci... zrobienia dobrego interesu w przedsiębiorstwie, które powinno być owiele wcześniej już powstać.

Tylko ociężałość nasza i niedowierzanie własnym siłom, udaremnić mogą wykonanie pomysłu, mającego za sobą wiele warunków powodzenia.

Nasze obywatelki wiejskie powinnyby we własnym interesie zaagitować w okolicy na korzyść rzecznej spółki i zająć się jej losami.

Dobrych projektów nie brak nam nigdy, tylko przy ich wykonaniu siły zawodzą.

Ileż wniosków praktycznych a niecierpiących zwłoki poruszyło np. Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w ciągu ubiegłego roku, ale praktycznego rezultatu niewiele mogło osiągnąć; centralny zarząd Towarzystwa w Petersburgu ani jednego wniosku nie załatwił i do zatwierdzenia władzom nie przedstawił, działalność zatem filii warszawskiej ograniczać się może tylko na badaniu pewnych kwestyi, wyrokowaniu o nich, na teoretycznych rozprawach i udzielaniu poparcia miejscowym usiłowaniom w zakresie przemysłu i handlu wchodzącym.

Obecnie złożono nowy wniosek temuż Towarzystwu przez jednego z warszawskich rzemieślników; dotyczy on odczytów popularnych dla klas pracujących na wzór tych, jakie się odby-

wały przed laty kilkunastu w dawnym teatrze Rappo.

Sprawę tę poruszono prawie jednocześnie w pewnym kółku miejscowej inteligencji, przedstawiciele literatury i dziennikarstwa, w interesie oświaty.

Prelegentów, a zwłaszcza specjalistów, którzyby swoim słuchaczom w przystępny sposób objaśnić potrafili postępy w kierunku rzemieślniczym i przemysłowym, dawali pojęcia z nauk przyrodzonych, rozjaśniali poglądy na świat, obowiązkowi człowieka, rodzaje pracy i t. p. — nie za brakłoby z pewnością.

Rzemieślnik nasz jest ciekawy i pojętny, garnie się do oświaty, przedstawia zatem dobry materiał do wykształcenia; skierowanie umysłu jego do poważniejszego myślenia i nauki, potrzebnej jego zawodowi, byłoby i zasługą, i ważnym pożytkiem, a zwłaszcza odciągnęłoby go od demoralizacji i marnowania czasu na hulankach i pijatykach w niezdrowej podwójnie atmosferze szynkowuianej.

Kwestya żywienia głodnych biedaków w ciągu zimy tegorocznej weszła na właściwsze tory, jakżeśmy się tego domagali wraz z ludźmi rozsądniej pojmującymi cele filantropijne.

Oto powstać mają kuchnie publiczne, w których wydawane będą ciepła a zdrowa strawa za najniższą opłatą; kuchniami temi zajmą się dobroczynne damy, jak w roku zeszłym.

Ze względu na coraz gorsze czasy, jeden z przedsiębiorców próbuje z dniem 1-go Grudnia otworzyć w Warszawie końskie jatki i specjalną restauracyą, w której obiad, złożony z zupy i dwóch dań mięsnych, rozumie się nie-wołowych, kosztować ma tylko 20 kop.

Wątpimy o praktyczności i powodzeniu takiego przedsiębiorstwa; amatorów koniny, nawet pośród głodnych biedaków, niewiele u nas znajdzie, a cena projektowanych obiadów nie wydaje się nam tak bardzo przystępną, zwłaszcza gdy za tesame pieniądze w każdej „taniej kuchni“ smacznie i zdrowo z wołowego mięsa dostać można i zupe i pieczeń z jarzyną.

Uwzględniwszy, że u nas tylko stare, zmęczone szkapy dostawałyby się do takich jatek, przyjdzie każdemu na myśl przestroga w formie znanego przysłowia „o taniem mięsie, które psy jadają“.

Okoliczność, że i Pegaz był koniem, ośmiela nas do przejścia od tak prozaicznej rzeczy, jak mięso, w dziedzinę sztuki, a właściwie tylko do jej przybytku. Nic zapewne bardziej sprzecznego z sobą, jak jatki i teatr, a jednak i tu, i tam często... zarzynają.

Otóż chcemy wspomnieć na zakończenie o kwestyi kapeluszonej w teatrach, która stanęła na porządku dziennym w Warszawie i obchodzi pleć piękną. Zwrócono słuszną uwagę tak u nas, jak i zagranicą, że damskie kapelusze dzisiejszej mody przeszkadzają widzom w teatrze i zasłaniają scenę; często tylko przez jakąś ruchliwą i wąską szczelinę pomiędzy dwiema strojnami główkami (zdrobniały ten wyraz jest w tej chwili największą złośliwością) może się oko biednego sąsiada w krzesłach lub na amfiteatrze przecisnąć na scenę.

W Niemczech i we Francyi dyrekcye teatrów wydały edykt, skazujący pleć piękną na zdejmowanie kapeluszy obowiązkowo; u nas w Warszawie pozostawiono to dotychczas łaskawemu uznaniu samych pań i (rzecz pochwały i podziwu godna), w ostatnich czasach tak w Rozmaitości, jak i w Teatrze Wielkim coraz częściej uważać już można poddające się dobrowolnie temu rygorowi Warszawianki, które z odkrytą głową siedzą dumnie w krzesłach, jako pierwsze pionierki zwyczaju wielce pożądanego.

Jest to co prawda, jedno z nielicznych ustępstw, zrobionych płci brzydkiej przez pleć nadobną, — jak utrzymują złośliwi, — ale i za nie trzeba być wdzięcznym.



## ZLAMANA TARCZA.

Lato 1683 r. było gorące, a piękne, pogodne na podziw. Wiosna przyszła wcześniej, drzewa okryły się kwiatem, jak śniegiem i okwitły spokojnie, bez wicherów, i chłódów nocnych, któreby młode zawiązki owoców zwarzyły, i ludzie wróżyli obfitość ich wielką. Tak było i ze zbożem wszelkiem, jarem, ozimem: wykłosiło się wszystko szczęśliwie i w lipcowym słońcu już się złociło, jak do sierpa. I trawy były ogromne; na łąkach, na ługach leśnych prawie w pas człowieka; sprzątnięto je sucho, wonne aż pachniało na okólnikach, i w połowie lipca już się szykowano do żniwa, a ludzie mówili, zwłaszcza starzy, że pewno wojna będzie. Tak zawsze bywa: przed wojną urodzaj wielki i sprzęt wczesny, aby ludzie mieli czas zrobić ład z darem Bożym, a i bez tego chodziły po kraju wieści głuche, że się przyjdzie bić z Turkiem. W Krakowie gadano już o tem głośno, że cesarz rakuzki prosi o pomoc naszego króla jegomości, a papież nalega, aby na obronę Chrześcijaństwa miecz dobył. A tymczasem na świecie wszystko okwitało, dojrzywało. W owoc słodki, w ziarno pełne szło, i ptaćwa nawet była moc niesłychana. Już nie śpiewało, ale po lasach był szmer, szczebiot, jakgdyby szepty jakieś i w ziele nadwodnem krył się niby świat zaczarowany, bo i wody były wielkie, dla obfitych, ciepłych deszczów wiosennych. Żurawie, bociany, czaple, ważyły się górą na skrzydłach szerokich; dzikie gęsi, cyranki pływały stadami po stawach, po jeziorach, i nie tylko zakonnicy zapisywali w kronikach klasztornych, że rok to jest jakiejś szczególnej łaski Bożej, ale i jaki taki szlachcic konotował to na okładce kalendarza, lub, jeżeli piórem bawić się lubił, zapisywał sobie od *silva rorum*. Książę Konstanty Hołub tak właśnie czynił, bo u niego w wiosce obrodziło osobliwie; wprawdzie nie znaczyło to i tak rzeczy wielkich, bo Książę Kamień nie był wcale fortuną pańską, książęcą, ale ledwo szlachecką, i to mierną. Przy tej jednej wiosce niedużej stary ten ród się trzymał, w gnieździe swoim odwiecznem, na Rusi Czarnej, w okolicy leśnistej wodnej, nie bogatej, ale jakgdyby od Pana Boga kochanej, tak tu było ludziom dobrze i cicho. Kołem lasy stare, a jakie lasy! Mieszane, jakgdyby je niebieski ogrodnik siał dla ludzkich oczu pociechy: dęby, graby, sosny żywiczne, brzozy, lipy, podszyte leszczyną, kaliną i różnym tym gminem leśnym, po którym chmiel i podbiał wieszal się w festony, jak na malowanie jakie. W Hołuboszczyźnie, bo tak jeszcze ludzie mówić nawykli, choć inne wsie: Hołuby, Hołubczyki Troski, już dawno w inne ręce poszły, duży dochód był z pszczół, po barciach leśnych gęsto żyjących dla wielkiej ilości lip, które tam rosły i teraz właśnie tylkoco przekwitły, a woń po tym ich kwieciu jeszcze w lasach została, i aż się tam chciało isć, aby odetchnąć.

Tylko, że w tych lasach czasem aż strach, choć tak lubo, że gwałtem coś cię ciągnie dalej, gdys raz wszedł, choćby na skraj tylko. Wije się tam rzeczulka niewielka, zwyczajny strumień leśny, ale tak się kręci pięknie, że idziesz, idziesz aż cię zaprowadzi za sobą nad jezioro, do którego wpada. Szyba to wody też nieduża, nie zapisana pewno nigdzie, a nazywana też tylko: Woda... Hołubowa Woda... Już tu lasy nie kniazia, już tu granica cudza, ale człowiek jak ptak, granicy nie strzeże, zwłaszcza pieszy, a dla tych różnych zakrętów wdzięcznych, zda się, że ten las, to nie las tylko królewski jakiś ogród wielki, zwierzyniec, że zaś łośi moc ogromna, to jak ci który przed oczyma się mignie, czy samiec z różkami, czy jego łania, wdzięczna bestyjka, tylko głaskać, a pieścić, więcej ci to jeszcze się wydaje, żeś tu wszedł, nieuważając jakąś bramą i tam dalej zobaczysz niedługo zamek pański.

Dzieje się tak dla onych lip, które ogrody ludzkie przypominają, a także i dla mechów zielonych, jak aksamity. Prosty gmin mówi, że i nie dlatego

tylko, że tu był rzeczywiście na tej puszczy zamek, bo było tu i miasto wielkie. Wiedzą jeszcze niektórzy, gdzie co stało, gdzie rynek był, gdzie kościoły, pono aż sto. Jest takich puszczy pięć—dawniej tu miało być pięć zamków, wkoło jakgdyby zbudowanych, na których siedziało pięciu kniazia, ale co tam... Teraz tu las, a kniazie po jednej wioszczynie mają.

Książę Hołub z Książęgo Kamienia bardzo statecznie i wspaniale wygląda. Już stary jest, pewno siedmdziesiąt lat ma, jeżeli niespełna, to już blisko, i jakgdyby z jakiego obrazu, które w kościele parafialnym wiszą, zszedł. Brodę nosi, co rzadko teraz między państwem, a tylko u starzych z ludu prostego, ale bardzo mu z tem poważnie i pięknie, bo siwa jest, biała jak mleko, tak też jak wąs duży, który na nią spływa. Z czoła wyłysiał tak, że naga czaszka świeci; wojował za nieszczęśliwych czasów jeszcze Jana Kazimierza i włos się wytarł od szyszaka. Że cery jest śniadawej i oczu czarnych, znać, że był kiedyś czarnowłosy, że przytem wysoki i choć w latach już znacznych, prosto się trzyma, ludzie o nim mówią, że jest człowiek piękny, a słuchać go trzeba choćbyś nie chciał. Latem w gorący czas nosi się w płóciennym żupanie, z czem mu wiele pięknie.

Syn do niego podobny, jak kropla w kroplę, choć różnica wieku wielka, bo książę Michał nie ma wiele więcej nad dwadzieścia pięć lat, a patrząc na niego rzecz można: wiosen. Jedynak, ani siostry żadnej niema, a ludzie mówią, że dobrze się tak stało, bo kniazionna biedna nie prędko za mąż idzie i trzeba nieraz takim pannom zacnym a bez fortuny do zakonnego welonu się przymusić, choćby serce chciało do świata, do życia—do miłości. Siostra kniazia Konstantego jest też u Dominikanek Wileńskich podobno księżną, a miała też być tak piękną, jak ten cały ród pański.

Kniazia Michała wszyscy ludzie naokół sercem całym lubią: państwo, szlachta z okolicy, a lud wiejski przepada za nim. Dobry jest, ludzki a wesoly jak ptak. I w nim jest coś wyniosłego, jak u ojca, ale nie dla biednych ludzi.

Gdyby go ktoś chciał posponować, że się skromnie nosi, że orszaku pańskiego za sobą nie wodzi, choć na pieczęciach ma paludament ogromny z czapką książęcą, toby się umiał odrazu dumnie nastawić, piękne czarne brwi w groźną zinarszczkę ściągnąć, i wyprostować wyniosłe kibić, nie niższą wzrostem od ojcowskiej, tylko wysmukłą jeszcze, jak jesion młody. A gibka też jak ten jesion, gibka i elastyczna, pańskie dziecko wykazująca, choćby tylko rzemiennym pasem, jak bywało zwykle na codzien, ujęta była: latem na takiej jak u starego kniazia płótniance, zimą na kożusku barankowym. Niechżeby od tego rogatą czapeczkę z czarnym barankiem krymskim, trochę na bakier z fantazyi młodej sobie włożył, chłopak był śliczny, że kochać się tylko!

Śliczny: kruczego włosa, miękkiego, lśniącego, jak u dziewczyny; kruczego jedwabistego wąsika, który, jak to już moda nasza oddawien dawna, zawieszisty był i miękko się opuszczał koło ust, jak wiśnia rumianych i świeżych, zpod których białe zęby śliczne przy każdym uśmiechu mu błyszczały, a uśmiechał się często gęsto, bo natura była taka: dobra i wesola. Cery, tak jak jego ród cały, smagłej i ogorzalej też jeszcze od tego gorącego słońca, które kłosa na łanach przed czasem złociło; rumianym nie był, ale owe usta jak koral i świeżość jakaś młoda, która od niego jakgdyby wiała, sprawiały ten skutek, że mu to żadnej ujmę w urodzie nie czyniło, lecz przeciwnie przymnażało jej jeszcze.

Oczy to już miał szczególne: czarne, a jak aksamitne, duże, długie; kiedy spojrzał niemi, to już sobie ludzkie serca kupował. Starzy, młodzi, wszyscy mówili: — A! ten kniazik młody, to nie potrzebuje lubczyku szukać, aby go dziewczęta kochały...

Kochała go tymczasem nad wszystko na świecie matka, kniazionna Irena, Sołohubówna z domu, tylko z tej gałęzi Sołohubów, którzy wielkiej fortuny już nie mieli i temi czasy, choć klejnot herbowy też stary i zacny bardzo. Że go jednego miała, musiała kochać tem goręcej. — Jeden, jedyny hołubek mój!... mawiała, pieszcząc i głasz-

cząc za lat pacholęcich, i gołębiej natury tak też w nim upatrywała, że nie tylko sama nigdy go ostrzej nie skarciła, ale i ojcowi surowiej fuknąć na syna nie dała, czego też nie było i potrzeba. Chłopak był dla rodziców posłuszny, karny bardzo, szczególnie, że miał przy tej wszystkiej dobroci i wesołości swojej jakąś godność pańską niby, która mu nigdy źle, licho bryknąć nie dawała i wychował się jak kniaziatko rzeczywiście: bez kary żadnej, a zawsze w mierze przystojnej — hołubek matusi swojej, jak kniaz Konstanty, nieraz żartując z żony, mawiał.

Ale swoją drogą był to hołubek nie całkiem swojski, zwłaszcza, gdy na chłopca już wyrósł. Gdzie go nie było? W polu, w lesie, na łąkach, nad wodą... skoro tylko już się fuzyjki dorwał, to go preceptor, a miewał zawsze nieposlednich, choć trzos kniazionny nie był grubo — ledwo utrzymał. Byłby rad żył: dniował, nocował, pod bożym namiotem, — w lesie spał, kawałkiem chleba i sera w torbę wziętym, z lesną jagodą gdzieś w puszczy się nasycił. Matka się też wielce lękała, przypadku jakiego z dzikim zwierzem, ale ojciec nie bardzo bronił i lubił nawet, że chłopiec te gusta miał, że mimo pieszczot matczynych nie rozleniwiał się i gnuśnym nie był. Zimą go za to więcej przy książce trzymać kazał, bo i sam nie był tym, coby od drukowanej litery uciekał. Że po łacinie dobrze umiał, to nie była rzecz wielka, bo młódź szlachecka po konwiktach jezuickich tego zwłaszcza się wyczuła, i każdy, który już ladajaką szlachetką był, tę sztukę potrafił, że mógł po łacinie mowy *stante pede* — prawie, ale kniaz Konstanty coś więcej nad to umiał. Że ze starego rodu szedł, stare książki, kroniki, dyaryusze czytywał, zwłaszcza zimowemi wieczorami, nocami nieraz; syna też do książki naganiał, miłować je nakazywał, i z łaciny to biorąc, naukę matką ludzkiego ducha nazywał. Chłopiec mniej tego w sobie miał, może, że krew młoda w żyłach grała. Czasem nad jakim dyaryuszem starym jak siadł, to-by nie jadł, nie pił, a czytał, ale bywało najwięcej tego gustu jeżeli rzecz rycerską była. Rozmyślanie nad życiem, nad światem, jeszcze mu się w myślach nie krzewiło tak, jak u ojca, który też i księgozbiór, choć nie książęcy, ale mimo to wcale nie podły miał, — książę półek kilka, pięknie w skórę, albo w półskórek, czyli pergamin oprawnych, a na nich herb swój książęcy: złoty krzyż grecki w czerwonym polu, zawsze misternie wyobrażonym mieć chciał, bo się w rodowdziej swoim bardzo kochał, z tej racyi szczególnie, jak to nie jednemu dumnie rzekł, że z krwi Hołubów nie urodził się nigdy żaden zaprzędniec ani człek podły.

Prócz tych ksiąg i trochę zbroi starej, oraz nieco srebra kunsztownego, mis, puharów, bogdaj czy nie z Konstantynopola przywiezionych i greckiego kunsztmistrzostwa ślady na sobie noszących, nie było w tym domu kniazionnowskim zapasów szczególnych, któreby mu świadkami minionej przeszłości były. Chędogo było tylko, poszlachecku, ale już zgoła nie po pańsku.

Przecież okazałość stara trzymała się zubożalego rodu jakoby sama przeszła, już nawet bez woli tych, którzy zwolna do zmiany stanu przywykli, bo zmiana ta nie przyszła nagle. Rody właśnie najstarsze, jeżeli tylko nie ambitne, które się do dworu nie cisnęły, królewskiej purpury nie czepiając, urzędów nie łaknąc, właśnie z tej dnmę, że już im żadnego nowego zaszczytu nie przyniosą a swobodę odbiorą — rody takie powoli na wsiach swoich, zwłaszcza od rezydencji stołecznej odległych — z wielkości swej schodziły. Fortuny się uszczuplały przez podziały, bogatą żonę na partykularzu znaleźć było trudno, a szczególnie, gdy się szło za sercem i głosem tym, co się w pierściach więcej o szczęście, niż o ambitne wyniesienie dopominał. Córki takich rodzin nieraz do klasztoru szły, więc i kolligacyi ubywało, a gdy się fortuna coraz więcej ku schyłkowi miała, to i o wiele dzieci Pana Boga nie proszono. Gdy kilku braci było, nie jeden z nich nieraz wcale się nie żenił z miłości dla imienia swego i synowcom majątek przekazywał, aż zwolna ze świętością rodową i ród sam szczupłał, drobniał. Tak-to niemało wielkich rodzin wygasło, naprzy-



kład książąt Holszańskich, też z tychsamych stron, tylko zda się ojczyców z Białej Rusi. Uważano to sobie przecież w rodach takich niemal za przeznaczenie lepsze, niż zejść na ubóstwo ostatnie, na poletek ziemi, na szlachtę zagonową, co się też zdarzało i zdarza dotąd. U Hołubów, na Książowskim Kamieniu siedzących, jeszcze tak źle, tak ostatnio nie było.

Ale być mogło za pokoleń parę, i książę Konstanty żal nad tem głęboko w sercu nosił, co mu z oczu patrzyło, powagi wielce przysparzając, bo myśl frasośliwa ma to do siebie, że kiedy przy duszy niepodłej na wysokim czole siedzie, to je w majestat odziewa, jakiegoby i pas lity nie dał. Książę Konstanty w tem go zwłaszcza dostojnie chował, że się nad możność nie nadstawiał i nie puszył. I siedzibę taką też miał, choć nie starą, bo już ją sam sobie stawiał. Wyglądała wspaniale, bo do przeszłości się przyparła, ale skromną była. Jeszcze dziad kniazia mieszkał w zamku, który znać obronny był kiedyś, bo otaczał go nasyp wysoki: wał, z rowem głębokim, ale od wieków czy go ludzie drzewami zasadzili, czy wyrosły na nim same, ale stał się z tego jak jakiś las, a raczej szpaler leśny, piękniejszy niż dzikie ogrody pańskie, na wiosnę pełen ptasząt i śpiewu, słowików zwłaszcza, a zawsze przedziwne to były ramy dla starego zamku, w którym przecież już rodzice kniazia ledwo kilka izb na mieszkanie sobie wybrać mogli, ciasno się mieszcząc, a resztę pustce oddać musieli. Mury się wyginały, raz po raz coś się w górze ruinowało, cegła się osuwała, a dołem ten jad wieków, który stare mury dogryza — wilgoć, tak się rozposcierała, że po kątach grzyby rosły i posępnie się stawało, jak w grobie. Grób to już też był i gdy książę — młody książę, jak wtedy o nim mówiono, z wojska do wioski wrócił i miał się żenić, dwór nowy po niżej starego zamku, ale w otoczeniu starych wałów postawił — szlachecki, drewniany, ale wygodny, miły, jasny. Starą rudere rozebrano, aby się sama w gruzy nie zwała, smutne rumowisko z ruiny swej czyniąc, i uratowano tylko róg jeden, południowy, nie tak wilgotny; podmurowano go, skarpami umocowano jako pamiątkę przeszłości, z żelazną, skrzypiącą chorągiewką na dachu, przeniesioną tu z wieży zamkowej, która najpierw zaczęła się krzywić i chylić, upadkiem grożąc. Dół, prócz sieni wąskiej, obrócono jakoby na lamus, gdzie różny nieużyteczny sprzęt składano; lecz na piętrze jedną izbę dużą, sklepioną, wporządzono już pięknie, oczyszczono i książę zrobił ją swoją własną komnatą, gdzie zniósł swoje księgi i wszystką broń starą, a w mocnej szafie dębowej zamknął, co tylko ze zwałonego zamku jako pamiątka unieść się dało. Od ognia bezpieczniej tu było, niż w domu drewnianym.

Ale gdy młody książę dwadzieścia cztery lata, skończył, ojciec komnatę tę swoją mu oddał i to uroczyście, jakgdyby go na possessyą dziadowskiego, pradziadowskiego mienia obsadzał. — Już jest mężczyzna... rzekł — i należy ci się to poznać. W starych murach najlepiej ci to przyjdzie.

Prócz książek swych, nic nie zabrał synowi z zamku, jak z przyzwyczajenia nazywali ludzie ten ułamek jego starych murów. Obozowe łóżko ustawiono młodzieńcowi pod ścianą jedną; a że wisiała tam stara zbroja, na której napiersniku złoconym był wizerunek Matki Boskiej, była to więc jakby relikwia, która go tu strzedz miała. Jednak matka czuła, jakgdyby jakiś strach, gdy jej syna, tak do pustki tej odwiecznej, ojciec rugował. Nie śmiała się mężowi sprzeciwić, ale wieczorem, gdy sami już zostali w komnacie sypialnej, westchnęła: — Tak mi smutno, że dziecka w domu nie czuję — rzekła zcichą.

— I mnie taksamo — odparł mąż łagodnie, kładąc żonie rękę na ramieniu. — Ale cóż robić? Chłopca nie można zawsze przy sobie trzymać....

— Wiem to, ale tam tak pusto... tak....

— Straszy może. Ludzie mówią, że o północy coś na wschody lezie!

Żona chciała się tłumaczyć, bo mąż się z niej śmiał, ale on jej czasu na to nie dał, — nagle poważny. — Na tom go tam umieścił, aby przyszły do niego duchy stare — rzekł, — Michał tam tylko

rozmówi się z niemi.... Na tom go tam umieścił, w domu pradziadowskim....

Ale zaraz się nachylił i pocałował żonę tkliwie. — Moje życie, jego będzie trzeba niedługo wysłać z domu, do wojska, może do regimentu księcia-wojewody; tu-by nam zarzewiał. Myślę nawet pisać, prosząc dla niego o łaskę pańską....

Żona czuła, że mąż ma słuszność za sobą.

— Trzeba będzie — szepnęła pokornie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZASADNICZE RÓŻNICE

MIEDZY SZKOŁĄ CHŁOPCÓW, A SZKOŁĄ DZIEWCZĄT.

(Des principales différences entre les écoles de garçons et les écoles de filles, par W. Noeldeke, directeur de l'École Supérieure des filles à Leipzig. — Leipzig, 1885).

Broszura, którą mamy przed sobą, owoc czterdziestoletniego doświadczenia w zawodzie nauczycielskim, ma tę wielką wyższość nad wielu książkami w kwestyi podobnej, że jest dziełem mężczyzny, który jednak przez długotrwałe nauczanie dziewcząt i nadzór nad szkołą żeńską, umie lepiej niż kto inny zdać sobie sprawę z natury umysłowości kobiecej, i ztąd może traktować przedmiot obrany ze świadomością rzeczy szerszą i pełniejszą, niż wtedy, gdy jest ona opartą tylko na ogólnych poglądach o kobiecie i mężczyźnie. Kobieta, pisząca w tym samym przedmiocie, tylko połowę sądu mogłaby opierać na danych pewnych, bo nawet w tym najlepszym razie, gdyby będąc nauczycielką domową, uczającą zarazem dziewczęta i chłopców, zbierała sobie pewną liczbę spostrzeżeń, ograniczyć-by się one musiały tylko do nauczania początkowego, bo średnia i wyższa nauka chłopców nigdy kobiecie powierzana nie bywa, i chłopcy idą zawsze do szkół męzkich wtedy właśnie, gdy różnice, zachodzące pomiędzy umysłem męzkim a kobiecym dopiero występować mogą charakterystycznie ze względu na materiał nauki odbieranej i metodę nauczania. W nauczaniu początkowym różnic tych niema, i nie potrzeba bynajmniej wytwarzać ich — pisze prof. Noeldeke. — Nauka czytania, pisania, początki gramatyki, historii, geografii, rachunków, geometrii, tak muszą się trzymać z natury rzeczy jednakowego sposobu wprowadzania ich w umysł dziecienny, że nie może być dwóch metod nauczania: — jednej na użytek chłopców, drugiej na użytek dziewcząt. „Te pierwsze wiadomości są względem prawdziwej nauki drzwiami — jeden jedyny tylko jest klucz, którym się je otwiera. Ktokolwiek chce wejść poza te drzwi, musi się zaopatrzyć w ów klucz — jeden i tensam dla chłopca i dziewczęcia, zupełnie tak jak gospodarz i gospodyni nie mówią dwóch rozmaitych kluczy, otwierających im wejście do domu.“ Autor gani też wszelkie próby w tym rodzaju, te zwłaszcza, które ze względu na większą siłę wyobraźni u dziewczęcia, a mniejszą jakoby wytrzymałość jej umysłu wobec trudu suchego, chcą ułatwiać jej tę naukę pierwszą, uczynić ją barwniejszą, usuwając z niej, oile można, liczby, nomenklatury i tym podobne rzeczy. Metoda to zła, zła bardzo, bo i to także jest już początkiem nauczania, aby umysł w pewnym stopniu do pracy się zaprawił i nauczył zdobywać sobie wiedzę przez namysł i pamięć, a nie chwycił jedynie przez zajęcie wyobraźni. Wszystko zaś, co bez szkodliwego w tym kierunku nadużycia może się stać przy pierwszym nauczaniu ułatwieniem nauki dziecka, powinno być użytym tak przy nauce chłopca, jak dziewczęcia. Gdyby nie inne poboczne przyczyny, które według autora mają tu miejsce, poczynając od dziesięciu lat wieku tak szkoły elementarne, jak elementarne wyższe, to jest pierwsze klasy szkół średnich, mogłyby być łączne dla chłopców i dziewcząt. Bywa tak w pewnych

krajach, czego autor nie pochwała jednak, a nawet gani. W edukacyi prywatnej rodzin, bracia i siostry bardzo dobrze uczą się razem, i wypływa ztąd nawet korzyść znaczna dla stron obu, przez uzupełnianie się wzajemne przymiotów umysłu męskiego i kobiecego, przez wzajemne rozbudzenie władz tych umysłów. Nawet ze względów moralnych wpływ wspólnej nauki jest tu bardzo korzystnym, bo głębszem się staje przywiązanie zobopólne przez zbliżenie się umysłów — rzecz wysoce cenna w rodzinach.

Wychodząc z powyższego założenia, prof. Noeldeke twierdzi, że kształcenie nauczycielek i nauczycieli elementarnych niższych i wyższych, powinno być dla obu płci zupełnie identycznym i zwracając się do nauki dziewcząt, mających w przyszłości być takimi nauczycielkami, dodaje, że skoro zadaniem ich jest uczyć tego samego i w tensam sposób, bo tąsamą metodą, co nauczyciele, powinny również umieć to samo i tak samo, jak oni. Powinny posiadać te same wiadomości i to samo przygotowanie metodyczne; powinny zaopatrzyć się w te same zasady psychologiczne i pedagogiczne, aby stały na wysokości swego szlachtetnego obowiązku. Wprawdzie pewne ćwiczenia umysłowe, jak naprzykład logika, wydają się trudniejszymi do osiągnięcia dla dziewcząt, jak i dla chłopców, „ale prawa myśli ludzkiej nie zmieniają się wraz ze płcią i jednakowe nauczanie powinno wystarczyć dla stron obu.“

Skoro ktoś na zasadzie pojęć, wyrobionych o kobiecości, dojdzie raz do przekonania, że kobieta powinna uczęszczać do szkół specjalnych — artystycznych, naukowych, literackich, powinien też wiedzieć, że należy jej się tam spotkać z takąsamą nauką jak mążka, gdyż prof. Noeldeke na zasadzie swego długoletniego doświadczenia przyznaje kobiecie dostateczne zdolności do nauki, choćby najwyższej, i ztąd też „może twierdzić, że gdyby miał tu być brany pod rozwagę tylko wzgląd na zdolności intelektualne mężczyzny i kobiety, nauka w wyższych szkołach dziewcząt powinna-by być najzupełniej taką samą, jaką jest w odpowiadających im szkołach chłopców. Żadna różnica wprowadzona do programatu nie powinna tu opierać się jakoby na zasadzie intelektualnego uzdolnienia uczennic. Przeciwnie, dziewczyna dorastając fizycznie wcześniej, dorasta wcześniej i umysłowo, a to jej rozwinięcie się już w wieku nauki, zdaje się wskazywać, że należałoby mądrze zużytkować te lata życia na zbogacenie i ozdobienie jej umysłu.“

Pisząc to wszystko, prof. Noeldeke trzyma się na stanowisku najzupełniej obiektywnem i, zaznaczając fakt zdolności kobiecych, uznaje, że kobieta uczennica nie jest bynajmniej niższą od mężczyzny ucznia, i z tego oderwanego punktu zapatrywania się na rzecz, nie widzi żadnych zasadniczych różnic, potrzebnych w szkolnictwie kobiecym a męzkim. Ale istnieją w jego przekonaniu powody tych różnic liczne i ważne, pierwszorzędnego znaczenia, dla tego też nie jest on zwolennikiem ani szkoły mieszanej, ani szkolnej nauki jednakowej mężczyznom i kobietom, skoro tylko podnosi się ona już do stopnia średniego. Motywa tego wyroku są: „Obok równości intelektualnej mieszczą się jednak powody uzasadniające ową różnicę, na mocy których kobieta, nie będąc bynajmniej niższą od mężczyzny umysłem, otrzymuje jednak, tak u ogniska domowego, jak wśród społeczeństwa, inne przeznaczenie, inną rolę, właściwą jej, a której mężczyzna spełnić nie może.“

Fizyczny organizm kobiety jest innym, niż mężczyzny. Kobieta mniej silna muskularnie i w budowie kości, jest więcej nerwową, szczególnie w tych warstwach społecznych, gdzie głównie chodzi o wyższą naukę kobiecą. Tą różnicą fizyczności tłumaczy ową, tak często jako *opozycyjną naturę* stawianą charakterystykę dwóch płci: męskiej, jako przeważnie czynnej (Productivität) i niewieściej, przeważnie biernej (Receptivität). Mężczyzna jako typ, przedstawia samodzielność, bezwzględność; kobieta, natura miększa, jest czulszą na oddziaływanie otoczenia, w złem i dobrem silniej ulegająca potędze przy-



## PRZEGLĄD TEATRALNY.

LIII.

Teatr Wielki: Pierwsze przedstawienie 5-cio aktowego dramatu *Emila Augiera* p. t. *Diana*, w przekładzie Kaz. Kaszewskiego—d. 18 Listopada.

ślądu, gdy mężczyzna, przeciwnie, usiłuje wpływ swój wywierać. Czy nie jest to skutkiem większej uczuciowości, delikatności kobiecej, żywszej siły wzruszeń serca, które nad wolą jej panują. a owe większe siły swej rozpościeranie i wyższa odporność mężczyzny, to twardość, wynik mocniejszego skupienia się w sobie — egoizmu? Autor zaznacza tylko fakt, stwierdzający się najwybitniej w związku małżeńskim, w którym mężczyzna jest siłą produkcyjną rodziny, kobieta tylko zachowawczą. Jakkolwiek dopiero życie w świecie jest polem ujawnienia się tych różnic, które nie istnieją w obliczu szkoły, niemniej obowiązana jest ona już uprzednio liczyć się z niemi, bo wychowuje ludzi do życia.

Ale dla tego właśnie, że szkoła ze względu na swe zadanie edukacyjne nie może ograniczyć się wyłącznie do celów naukowych, i prof. Noeldke patrzy też w żywe życie, gdzie widzi jednak, że nie każda kobieta zostaje żoną i matką, że są setki, tysiące samotnych, które muszą o własnej sile iść w świat, pracować na siebie, wywiązywać się same przez się z obywatelskich i społecznych obowiązków swoich. To tworzy nową kwestyę, którą rozpatrując, dochodzi się do przekonania, że jednak poza rodziną niema rzeczywiście prawdziwego zużytkowania sił kobiecych w szerszym i wyższym znaczeniu tego słowa, bo te, które są, to tylko rozszerzenie pola pracy kobiecej w rodzinie—rozszerzona, ale tasama działalnosc, jakgdyby w dalszym ciągu swoim prowadzona. Prócz sztuki, która stanowi tu wyjątek, ale to jest odnośnie i do mężczyzny położeniem wyjątkiem: zawodem *wyzwolonym*—taką pracą, w której kobieta rzeczywiście coś znaczy i nie jest dodatkiem do pracy męskiej, którą państwo liczy jako siłę produkcyjną, jako wywiązanie się kobiety z jej obowiązków obywatelskich — to jedyne nauczycielstwo i dobroczynność.

Nauczać dziecko, choć nie swoje; podejmować dziecko porzucone lub sierotę; stać przy łóżu chorych, dźwigać kalectwo, wspierać starość już bezsilną — to w każdym kraju dział pracy ogromny, i tu kobieta w najwyższym stopniu użyteczna, i to niezastąpienie użyteczna, ma swoje rolę urzędnika państwa, ma swoją rolę ofiarności żołnierza, stojącego na wyłomie i godności bardzo wysoką. Do ostatnich czasów wojsko francuzkie prezentowało broń przed Siostrą Miłosierdzia, która dotychczas nosi tam oznakę należenia do *Legii Honorowej* swego narodu, a przed którą zawsze i wszędzie odkrywają się głowy ludzi uczciwych.

Ze nauczycielstwo jest zawodem i dostojnym, i użytecznym, dowodzić nie potrzeba. W miarę rozszerzenia się nauki ludowej, kobieta znajduje tu będzie coraz obszerniejsze pole zajęcia, z naturą jej zgodnego, gdy tymczasem na wszystkich tak zwanych *nowych polach* pracy zyskała ona dotąd bardzo mało i czy zyska kiedy więcej? Ekonomisci wykazali dowodnie, że praca kobieca w tych wszystkich kierunkach jest tylko nieszczęśliwą konkurencją z pracą męską, której cenę obniża na korzyść bogacących się przez to spekulantów. Tak jest w sferach pracy tej wyższych i niższych, tak jest i być musi zawsze, bo nie otwiera to żadnych nowych źródeł pracy i zarobku, a jedynie do starych kobieta ciśnie się obok mężczyzny i w najnieszczęśliwszy sposób pracą tę z rąk jego w swoje ręce zabiera. Jest to zatem tylko przeniesienie jej z głowy na głowę, rzecz najsmutniejsza pod słońcem, bo tworząca najwyżej nienaturalną walkę o byt.

Zamiast więc usiłowań skierowanych do otwiania kobietom nowych zawodów, czy w handlu, czy w służbie rządowej, należałoby raczej zamykać je. Mężczyzna stający w to miejsce, stworzy sobie z pewnością ognisko domowe, gdzie kobieta podzieli z nim—nie chleb tylko.

(Dokończenie nastąpi).

Gdyby do dobrej dramaturgii niczego więcej nie było potrzeba prócz dobrego pisania, ładnym wierszem, czy powabną prozą, ileżbyśmy już mieli we wszystkich literaturach świata dzieł znakomitych! Ale jest jeden bardzo niewygodny dla piszących, a niezbędny dla dramaturgii współczynnik tej sztuki, który na samem pisaniu poprzestać nie pozwala. Zanim się napisze potrzeba odczuć — odczuć to człowieczeństwo, które się ma pod piórem wyobrazić. Żadna sztuka nie rodzi się wyłącznie z głowy, dla żadnej też nie wystarcza samo tylko serce, ale co się z uczuciem nie poczęło to już nigdy drogi do uczucia nie znajdzie, czyli przeznaczenia sztuki nie spełni. Dramat jest jakby grą tęczyowych światła; łamie się w nim człowieczeństwo i rozszczepia na różno-barwne promienie, ale do tej gry potrzebuje pryzmatu i słońca: pierwszym jest artyzm, drugim natchnienie t. j. właśnie owe odczucie człowieczeństwa, bez którego sam talent pisarski będzie tylko doskonałym rzemieślnikiem. Im to odczucie jest głębszem, im większa różnorodność i głębość, panuje w odmianach człowieczeństwa zwanych charakterami, tem sztuka jest lepszą i wytrwalszą na ząb czasu. Wzorzyste szaty ze słów utkane, bielidla i róże nie zastąpią tego, co daje czerstwość i wdzięk naturalny, a inteligencja i cnota. Tak zdrową a cnotliwą powinna być każda sztuka dramatyczna, może być zaś taką tylko wtedy, gdy się oprze na charakterach. Poza charakterami niema dla niej zbawienia. Rozumna budowa, sceny efektowne, działania zajmujące, przygody ciekawe, styl piękny, nawet obrazowość w myślach, wreszcie mądrość zdań wypowiedzianych, powaga i rozumność podnoszonych zagadnień — wszystko to z prawa należy, lub z przywileju należeć może, do sztuki, ale nie będzie nigdy jej podwaliną. Poeta dramatyczny więcej niż którykolwiek inny twórcą i stwórcą być musi. Życie powinno w dramacie płynąć potokiem. Człowiek powinien się przejawiać w bogactwie swych odmian, a stać o własnej sile niepodtrzymywany przez autora; budowa sztuki nie może być luźną, ani perspektywa dowolnie przenoszona, jak jest, i jak prawowicie być może, w powieści. Czas przytem w dramacie inaczej biedz musi niż w powieści: wlec mu się nie wolno, powinien być dzielny rumakiem, aby drogę swoją przeleciał jaknajprędzej. Całość tych wymagań czyni zadanie każdego szczerego dramaturga tak ogromnym, że jest ono niemal groźnym. Dla tych, którzy jedynie udają talent, a do ogrodu Hesperyd dostają się tylko tym sposobem, że prześlą przez parkan, trudności żadne nie istnieją; ale talent rzeczywisty, nawet największy, tworząc dramata, rozliczne łamać musi zapory, chyba, że go natura obdarzy płodnością dramaturgów hiszpańskich, którzy też ilością płacili za jakość. Dzieł zupełnie doskonałych w dramacie niema tak, jak są w liryce, w eposie, w rzeźbie, w malarstwie, w muzyce. Nawet Shakespeare nie wytworzył ani jednego, na surowej wadze odważnego, arcydzieła; ale Shakespeare, nieosobliwy architekt, był wielkim rzeźbiarzem człowieczeństwa i w charakterach przez siebie wytworzonych objawił potęgę, jakiej nikt przed nim i nikt po nim nie posiadał. Tosamo, co uzacnia najbardziej sztukę dramatyczną, uzacniło też i Shakespeare'a.

Jeżeli wartość dramatu Augiera mierzyć będziemy skalą jego charakterów, otrzymamy w wynikach ilości niewielkie, ale niewątpliwie dodatnie: *Diana* nie jest całkiem pozbawioną charakterystyki; oprócz samej bohaterki zajmują nas w sztuce: Richelieu, Ludwik XIII, księżna de Rohan; spotykamy pojedyncze rysy i w p. de Pienne. Król sam, choć tylko przez kilka minut

jest na scenie, maluje nam się dobrze w swej małości uczuciowej, a umyslowem tchórzowstwem. Daremnie wyrwa się jak mucha z sieci pajęczej: czerwony pajak przytrzymuje go argumentem, jak pazur w jego miękką duszę zapuszczonym, i rozrzewnia go przypomnieniem swoich znojów, poświęceń i zasług. Nad samym kardynałem nie dostrzegamy tradycyjnego pręgiarza pogardy, niewymuszona zaś jego prosta, wpływająca z zaciętej a pewnej siebie siły, ukazuje istotnego króla Francji w jego prawdziwym bismarkowskim typie. Powierzchny sąd uzna ułaskawienie p. Jana de Mirmande, połączone z wielką względnością dla jego siostry — za motyw anegdotyczny; ale głębsza rozważa wykaże rozumność pomysłu i zgodność jego z charakterem okrutnika, który prawie ciągle walczył podstępem. Istotnie anegdotycznym jest tylko pomysł ukrycia Diany za kotarą w pokoju królewskim na czas rozmowy, która mogła się zakończyć w sposób tak doniosły dla dziejów Francji; ale te wymówki to passowanie się króla z Richelieu zbyt często się powtarzały, aby poeta nie mógł sam wytworzyć w dowolnych warunkach takiej rozprawy pomiędzy niedołęzstwem a siłą. Tłómaczy to Augiera, który nie założył sobie na napisania wielkiego historycznego dramatu, ogarniającego ogrom stosunków publicznych, lecz chciał tylko przedstawić jedną, jakby z potocznego życia wziętą, przygodę. Nie można tylko przebaczyć Augierowi tego, że poważny wypadek historyczny: spisek na życie kardynała, przedstawił bez żadnej czy-to dramatycznej, czy satyrycznej wypukłości, a owej szlachetki francuzkiej, którą Richelieu wieszał za pojedynki, dał tak nędznych przedstawicieli, iż tylko o jednym z nich, o Pienne'ie, mówić jeszcze można. Komizm filistra - Rzymianina, Grandina, niezrównoważony przez inne czynniki psychologiczne sprzysiężenia, rozpiera się w sztuce niesmacznie. Cały ten spisek w dramacie jest lichą robotą.

Najlepiej wykończył Augier postać główną. Jest to istota, poważna, rozumna, szlachetna, dobry duch rodziny, anioł opiekuńczy dla młodszego, a dość lekkomyślnego, brata. Jej przywiązanie siostrzane, rozsądnym trudem i szczerem poświęceniem podsycane, występuje już z siłą indywidualną i jako czyn poetyczny zaznacza się wybitnie. Ale Diana nie jest jednolitą. Autor nie dostatecznie usprawiedliwia jej nagłe uniesienie się dla Richelieu i jego działalności politycznej poprzedniem usposobieniem jej umysłu. Poryw Diany, ocalający życie kardynałowi, nie mógł wyjść samodzielnie z tej sfery myśli, które ją głównie zajmowały w życiu, w całym jej ustosunkowaniu się do świata; Diana z trzech pierwszych aktów nie jest Dianą z czwartego. Gdy z troskliwej opiekunki, z kobiety odważnie stawiającej czoło awanturnikom w obronie czci niewieściej, przedzierzga się odrazu w umysł daleko widzący, dla którego tyran nabiera godności dobroczyńcy, nie możemy w tem dostrzedz nic innego nad mechaniczne nakręcenie charakteru do powziętego pomysłu; ale za to znowu, gdy w akcie V Diana poznaje niebezpieczeństwo, które sama zgotowała Pienne'owi i odwraca je w sposób prosty a świetny, przyznać musimy, że nas ten wybieg siłą swej organiczności pociąga; widzimy w nim kobiecość tkliwą, szczerą, przez uczucie niejaką genialną.

Chcąc być sprawiedliwym dla Augiera i dla Diany, potrzeba przewodni plan sztuki ograniczyć do tematu miłości siostrzanej; dramat bowiem obywa się bez miłości rodzajowej, i dla dzisiejszej publiczności jest to jego złą stroną. Dzisiejsza publiczność, karmiona namiętnością w temperaturze wystarczającej do stopienia platyny, miłością nerwowo-rozluhaną, zimno słuchać musi sztuki, w której namiętność wykwalifikowana przesuwą się jedynie przez scenę i podrzędną, przygodną tylko gra rolę. Sztuka Augiera mogłaby być dobrą lub złą, mieć głębsze lub płytsze charaktery, odpowiadać lub nie wymagać krytyki i smakowi estetycznemu: to, samo że się w niej nie kochają, musiałoby jej w każdym razie zaszkodzić. To ją głównie powaliło przed trzydziestu laty w Paryżu, nie zaś jej ułomności, tak wskazane, jak i niewskazane na



miejscu. Sądźmy nawet, że sama krytyka nie umie należycie wyróżniczkować swych wrażeń. Uderzmy się wszyscy w piersi: trójlistna koni-czyna, — „żona, mąż i kochanek“ więcej nas dziś zaciekawia niż skromna, w cieniu ukryta konwalia uczuć spokojnych, miłości małżeńskiej, czci dla rodziców, przywiązania braterskiego; nie rozumując nawet, namiętności przyznajemy wyłączne prawo panowania w sztuce ukazującej wewnętrzną treść człowieka. Prawidłowe stosunki moralne są dla nas czemś ekliwem: bijemy zaraz na trwogę, że nas karmią melodramatem i karmi tej lękamy się jak ognia. Milsze nam są wiarołomstwa, milsze różne akrobatyczne sztuki wyprawiane przez Francuzów. W powieści czy w teatrze, jak najwięcej pornokratycznych tematów; to nas dopiero osadza na miejscu i przywiązuje. Niema się co wykręcać; tak jest.

Przedstawienie dramatu Augiera w naszym teatrze nie odpowiedziało oczekiwaniom. I tu także wiarołomcza, sofistyczna komedia francuzka najnowszej epoki zostawiła po sobie ślady: w publiczności skaziła smak, w artystach styl. Wiodące to było na pannie Marcello i p. Tatarkiewicz. P. Marcello wzięła rolę z tonu panującego w *Jerzowej*, w *Sfinxie w Dyonizie*, w *Cudzoziemce* i całej tej nieprzeliczonej hałastrze, mającej rozwiązywać kwestye moralno-obyczajowe a właściwie rozwiązujące moralność i obyczaje. Takiej Diany, jaką wytworzyła na scenie p. Marcello, nie chciał autor, taka Diana musiała mu koniecznie zepsuć sztukę. Panna de Mirmande, jakąkolwiek jest, przedewszystkiem jest kobietą niezdolną do rwania sobie nerwów w nagłych rzutach i podskokach. Ma ona temperament, energią i zapał, ale temperament nie stanowi syntezy jej duchowości, nie jest jej ministrem spraw zagranicznych w stosunkach ze światem. Diana to charakter, i bardzo piękny charakter, a być charakterem to znaczy: poddać temperament pod rząd sił wyższych, rozumu i serca, sprzymierzonych ze sobą w miłości ideału; w szczęściu czy w nieszczęściu mieć środek swej ciężkości w samym sobie; a w walce z przeciwnościami być siłą spokojną, pewną siebie i celów swoich świadomą. Bez spokoju nie podobna pojąć Diany; wtedy ona tylko jasną, dobrą, silną być może, kiedy się namiętnie szarpać nie będzie. Zresztą sama natura jej uczucia wyłącza tę nerwową gwałtowność, jakiej dopuszczała się nieustannie prawie p. Marcello. Banalnym byłoby dowodzenie, że brata nie kocha się tak, jak się kocha ukochanego; pomiędzy jednym a drugim rodzajem uczucia niema innej łączności, prócz tej, że obie pochodzą z serca, oile uczucie rodzajowe nie jest prostym szalem, według najpospolitszego, gminnego swego typu. Przywiązanie rodzinne będzie zawsze serdecznem, nigdy namiętnem. Miłość braterska istnieje tylko przez miłość rodziny, przez przywiązanie do wspólnego ogniska domowego, przez pamięć trudów i poświęceń doznanych i nawzajem świadczonych. W bracie swoim, w siostrze, kocha się matkę i ojca i całą rodzinę swoją, kocha się nawet tę atmosferę domową, którą się niegdyś oddychało, nawet cierpienia, dolegliwości i nędze wspólne, — kocha się właśnie tę przyrodzoną wspólność z innymi istotami, z której się wyszło i w której się wzrosło. Jest to uczucie w treści i formach swoich zachowawcze, całe wypełnione przeszłością; kiedy tymczasem miłość właściwa, przeszłości żadnej nie mając, z istoty swej rewolucyjną być musi i drogą przewrotów rwie się do przyszłości. Oba typy form biegunowo przeciwstawiają się sobie.

Nie dla wzorowania się, ale dla odświeżenia w sobie lepszych żywiołów artyzmu, radzilibyśmy pannie Marcello, przesadzającej *furorem* i *fugą*, popatrzeć trochę na czyste posągowe postacie, jak Antygona lub Ifigenia, jak Klorynda lub Imogena, jak Lilla Weneda i Amelia. Ubcowanie z takimi ideałami sztuki uszlachetni styl, da miarę, wytknąć może drogę przy podejmowaniu w przyszłości ról podobnych do *Diany*. Wielka czystość rysunku w tej postaci zniknęła zupełnie w przedstawieniu jej przez p. Marcello. Nie była to siostra, ale jakaś niby wiedźma, chcąca nawet rykiem swoim przerażać, a pazurami

wydzierać. Jedno tylko zaparcie się miłości dla p. de Pienne p. Marcello dobrze oddała.

P. Tatarkiewiczowi ciasno jakoś było w skórze kawalera de Pienne; już-to co prawda ciasno mu wogóle od pewnego czasu w rolach kochanków, w rolach rycerzy serca i szpady. W komedii francuzkiej nowoczesnej urobił sobie artysta doskonałą formę na starzejącego się ladaco, poszukującego szczęścia gdzie się da, i w takich rolach jest przewybornym; ale zagrać dobrze takiego niewielkiego nawet p. de Pienne nie umie. I tu także nawyk, obyczaj, szkoła, — psują artyzm. Pani Ładnowska, bardzo wspaniała jako zjawisko, mniej nas zadowoliła jako żywa siła sceniczna. Śledząc grę jej fizioognomii, doznaje się takiego wrażenia, jakby artystka ciągle sobą i publicznością zajęta była. Jeżeli tak jest, to, oczywiście, sama rola w sztuce może być tylko jakąś gracyalistą na łaskawym chlebie. Dla pani Ludowej księżna de Rohan jak wraz przypada — i ze wszystkich ról ta jedna prawdziwie się nam w wykonaniu podobala. Gdyby Żółkowski mógł mieć przy sobie innego Richelieu'go, byłby sam lepszym doskonałszem wrażeniem sprawiającym, Ludwikiem XIII. P. Rapacki wybornie się ucharakteryzował — jak zwykle, ale rolę swoją wziął płytko, mówił jednostajnie, bez zycia, bezdusznie a wolno, a wolno! — aż do znudzenia. Artyście tak inteligentnemu i tak szanującemu przeszłość w sztuce, pisarzowi mającemu w literaturze imię już tak poważne — nie potrzebujemy mówić, że w roli jego czuć było niedostateczność studyów nad „czerwonym człowiekiem“. P. Ostrowski mógłby trochę komizm swój miarkować; ale p. Wolski nie zdoła już zmienić swego głosu — zresztą grał starannie.

Stanisław Krzemiński.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Kronika najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Studia Castonnet'a des Fosses na Madagaskarze. — Piorunociąg nowego systematu. — Torpille aerostatyczne. — Krytyczne ich ocenienie. — Ważna reforma w hygrometrii. — Missye francuzkie zamorskie naukowe i pozyskane z nich rezultaty.

P. H. Castonnet des Fosses, członek paryzkiego Towarzystwa Geograficznego, ogłosił ciekawy artykuł dotyczący wyspy Madagaskaru, z którego ważniejsze szczegóły podajemy.

Wyspa Madagaskar, odległa o 85 mil francuzkich od brzegów wschodnich Afryki, ciągnie się od nich prawie równolegle. Po Borneo i Nowej Gwinei jest ona najrozleglejszą, ma bowiem 800 do 900 mil obwodu i 25.000 mil kwadratowych francuzkich powierzchni, i temsamem dorównywa prawie obszarowi Francyi. Brzegi jej wogóle płaskie i bagniste; w części południowej wyspy gdziekolwiek tylko w kilku przystaniach mogą statki znaleźć schronienie. Natomiast brzegi północne posiadają wiele pięknych portów i rozległych zatok, zapewniających wszelkie bezpieczeństwo okrętom. W tej też tylko części wyspy Europejczycy mogliby się osadzać. Główniejsze porty są *Diego-Suarez*, *Bueni*, *Bombetok* tworzące prawie morza wewnętrzne, i *Passandawa* ogromna zatoka, nad którą panuje wyspa *Nossi-be*. Wszystko tu sprzyja zakładaniu stacji morskich.

Wewnątrz wyspy znajdujemy mnóstwo pasm górskich, w kierunku od siebie równoległym; najwyższe ich szczyty dosięgają 3.200 metrów wysokości. Z płaskowzgórzy wybiega wielka ilość rzek, które dzięki ukształtowaniu się ziemi, rozlewają się we wszystkie strony, wpadając do dwóch mórz od wschodu i zachodu. Madagaskar też jest jednym z krajów najzasobniejszych w wody na ziemi. Wody te pomimo wielkiej głębokości nie są jednak zdatne dla żeglugi, gdyż w większej części zawałone są przy swem ujściu ławicami głazów i piaskiem, jakie im morze narzuca. Nadto wodospady tu bardzo częste stawiają nieprzewycięzoną przeszkodę w komunikacji, tyle

pożądaną, między brzegami a wnętrzem wyspy. Wbrew zapewnieniom wielu turystów wysławiających czary tego rajy ziemskiego Castonnet utrzymuje, że klimat Madagaskaru jest zubożczym. Według niego, jest to kraj najniezdrowszy na kuli ziemskiej; wyspiarze nadają mu też smutną nazwę *Omentarza Europejczyków*. Zaklimatyzować się tu przychodzi z wielką trudnością; nieuleczalne zimnice pochodzące z bagnisk, najwięcej zabierające ofiar w czasie zimowania okrętów, czynią większą część pobrzeży niemożliwymi do wyzycia ze względów sanitarnych. Z tych-to poważnych przyczyn Madagaskar odstręcza plemię białe od osiedlania się na tej wyspie.

O płodności tej ziemi rozpisywano się szeroko, nazywając ją rzeczywistym Edenem. Wymaga to sprostowania. W północnej części wyspy jest czarnoziem; na pobrzeżach grunt bywa piaszczysty, a roślinność rozkrzewia się silniej dopiero w odległości dwóch mil francuzkich od morza; wszelako ziemia jest wyborań do uprawy w okolicach Fort-Dauphin i zatoki S-go Augustyna, oraz w stronie północno-zachodniej, gdzie nadmiar bogatej wegetacji wytworzył wyrstwy rodzajne, przeważnie złożone z humusu. W środku wyspy grunt jest żelazistym, ochrowatym, a w kraju Howasów granitowym. Większą część płaskowzgórzy reprezentują bezpłodne skały; jedynie tylko doliny okazują się produkcyjnymi.

Napotyamy zresztą na Madagaskarze roślinność rozkrzewiającą się w okolicach zwrotnikowych. Lasy są wspaniałe, wielce rozległe i liczne, lecz od lat kilku w niektórych okolicach całkiem wytrzebione zostały. Drzewa w przeważnej części dają doskonały budulec; napotyka się wśród nich palmy i czułki. Bambus jest najpospolitszym, równie jak lany w kauczuk zasobne, a pobrzeża rzek w kraju Sakalawów obfitują w drzewo sandałowe.

Podobnie jak i inne wyspy Morza Indyjskiego, Madagaskar posiada szacowne korzenie, reprezentowane przez drzewo gwoździkowe, muszkatolowe, krzew pieprzowy i imbir. Z rozmaitych gatunków drzew otrzymują tam olejki, z których najpowszechniej znanym jest kleszczowinowy, (*Ricinus*; *Palma Christi*). Banany, drzewa pomarańczowe, cytrynowe, mangowe i palmy sagowe, krzewią się tam w wielkiej obfitości, równie jak palma kokosowa, którą rozpleniono na wyspie przed dwustu laty. Drzewo chlebowe, wprowadzone w czasie nierównie późniejszym, dojrzewa na Madagaskarze przedziwnie; morwa roślinie prawie we wszystkich częściach wyspy, konopie zaś napotyamy w stanie dzikim. Oprócz tej flory na brzegach i wewnątrz kraju krzewi się tytuń, bawełna, sezam czyli roślina łogowa olejodajna, orzech ziemny (*Arachis hypogaea*) indygo. Wanilia do zbytku rozkrzewia się na wyspie i mogłaby stać się ważną gałęzią handlu. Próbowano tu uprawiać trzcinę cukrową, lecz usiłowania te nie powiodły się; tenże sam niefortunny rezultat dał krzew kawowy, i cokolwiek o tej uprawie pisano, przyznać trzeba, że Madagaskar nigdy nie będzie rodzicem kawy. Jedną z najgłośniejszych produkcji rolnych na tej wyspie jest ryż, którego liczą tu jedenaście odmian. Hodują niemniej przeróżne gatunki *ignamu* (*Dioscorea alata*) rośliny słynnej z mączystego korzenia, który jak u nas ziemniaki, jest w powszechnem użyciu, oraz maniok (tapioka), kukurydzę, proso, bob, ogórki, melony, cebulę. Zesztą grunt jest zdatnym do uprawy wielu roślin warzywnych. W ostatnich czasach wiele drzew owocowych zaczęli sadzić na wyspie misjonarze z zadowalającym rezultatem. Ziemniaki przyjęły się doskonale; z mniejszem powodzeniem pszenica, jęczmień i owies, dla których grunt tu niezupełnie jest odpowiedni. W kraju Ankowe i w okolicach Tamatawe krzewi się wino pochodzące z Przyładka Dobrej Nadziei, można powiedzieć bez uprawy. Na nieszczęście, Howasy nie umieją z niego użytkować, zbierają bowiem grona przed ich dojrzeniem.

Z powyższych szczegółów widzimy, że Madagaskar prócz kawy i trzciny cukrowej posiada wszystkie prawie rośliny właściwe strefom zwrotnikowym. Północna część wyspy jest najpłodniejszą.



Pod względem mineralogicznym Madagaskar dotąd prawie nie był badany. Wielu wędrowców zapewnia, że istnieje tam złoto, które w południowej stronie wyspy posiadają krajowcy w stanie proszku. Wyspiarze twierdzą, że ich wyspa obfituje w rudy srebrne, dotąd wszakże nie sprawdzono tych podań.

W Ankowe wszelako od wielu wieków istnieją w rzeczy samej rudy żelazne, z których otrzymanego metalu używają krajowcy na wyłączną swą korzyść. W rozmaitych miejscowościach wyspy napotkać można piryt żelazny, zawierający siarkę, a saetra występuje często na powierzchni urwisk skalistych. W odległości osmdziesięciu kilometrów od Tananariwa wykryto tlenek manganu, a w wielu innych punktach drogie kamienie, między temi ametysty i opale. Kryształ górny jest tu w bardzo wielkiej obfitości i okazy jego odznaczają się niepospolitą pięknoscia. Na niektórych pobrażkach wykryto pokłady wielce bogate węgla kamiennego, z których dotąd wszakże przemysł nie korzysta.

Takimi są zasoby przyrodnicze Madagaskaru, lecz od zakładania tu osad odstręcza niezdrowy klimat i wrogie usposobienie krajowców dla cudzoziemców. Naprózno też Francya kusiła się kilkakrotnie o podbój tej wyspy, która tylko po zostawała w czasowem jej posiadaniu. Dorzucimy nawiasowo, że w 1774 roku nasz Beniowski ogłosił się królem Malgaszów.

Praca Castonnet'a jest wielce cennym naukowym nabytkiem; prostuje ona wiele błędnych podań o tej wyspie, przedstawia jej przyrodę taką, jaką jest w rzeczywistości, i jest owocem sumiennych i długich studyów tego uczonego erudyty.

Inżynierowi miasta Bordeaux i wielce uzdolnionemu konstruktorowi przyrządów fizycznych p. Buchin, zawdzięczamy pomysł nowego piorunociągu skuteczniejszego od dotychczasowych. Buchin koniec tego piorunociągu wyrobił z miedzi czystej, nadając mu kształt kąta ostrego z wykrojami. Część tworząca powierzchnię ma postać piramidalną z kantami wygiętymi.

Koniec taki wskutek swego kształtu zastępuje końce w wielkiej liczbie pomieszczone na jednym pręcie.

Ilość elektryczności przepływającej przez tego rodzaju przyrząd jest nierównie znaczniejszą od ilości płynu elektrycznego przechodzącego przez zwykłe gromochrony. Doświadczenia potwierdziły wysoką wartość tego wynalazku tak prostego i doskonale zabezpieczającego budowle wystawione na gwałtowne burze.

Obserwatorium meteorologiczne w Bordeaux i wszystkie budynki w tem mieście przyjęły systemat Buchina.

Koniec piorunociągu z kantami ostremi wynalazku tego mechanika, wejdzie bezwątpienia w powszechne użycie we wszystkich krajach.

(Dokończenie nastąpi).

## NA OCEANIE SPOKOJNYM.

(Dalszy ciąg).

Przez kilka dni pałace tchnienie równika wydymało nam żagle, a purpurowa mgła, tak często przejawiająca się w tych szlakach, przez kilka godzin dziennie przesłaniała horyzont. Słońce paliło, o czem przekonywał ciepłomierz, a pomimo tego temperatura oddziaływała na nas wrażeniem wielce przyjemnem. Bóg wiatrów był dla nas łaskawym. Gdy jednak pewnego poranku wiatr przycichł, naprózno starałem się pocieszyć strofą Tennysona „Niema rozkoszy bez ciszy.“ Gdyby ten słynny poeta zbierał wrażenia w strefach podzwrotnikowych, nie napisałby z pewnością powyższego wiersza. W kajucie panuje upał

nieznośny, wszystkie farby i lakiery parują, łącząc swe wonie z wyziewami ładunku okrętowego przedzierającymi się przez podłogę i wypędzającymi podróżnych na pokład. Działanie wiatru nie ustaje jednak pomimo gorąca, gdyż morze wzdyma się i burzy, jakkolwiek pienisty grzebień już nie widnieje na grzbiecie fal. Ze względu, że okręt stał się ich igraszką, na pokładzie ruch jest owiele żywszym, niż w czasie silnego wiatru. Naprózno poszukiwałbyś teraz cienia wśród zagłów obwisłych. Na każdą falę spoglądasz z nadzieją, że uderzając o bok okrętu rozbije się w pianę, to bowiem zapowiada zbliżanie się wiatru. Niestety! piętrzy się fala po fali i nierozbita opada pod gurt okrętu. Powietrze jest cichem, martwym, gęstem, pałacem. Jeżeli te nudne godziny przeciągają się w dnie całej, wtedy bicie serca oceanu daje się poznać z ciężkiego, powolnego wznoszenia się jego potężnej piersi. Sprawia to wrażenie takie, jakby nam zlecono być strażnikami przy łożu umierającej natury i udzielono jedynie tyle siły, aby czuć, nie zasnąć.

Horyzont zdaje się do nas zbliżać i spowija okręt w żółty tuman. Jakaś tajemnicza moc usiłuje zdławić ludzkie życie. Nawpół drzemiący, karłowaty anioł śmierci obrał sobie mózg ludzki za łożo, na którym przewraca się, a każdy ruch tego demona sprawia nam ból, tem dolegliwszy, że odczuwamy go w każdym członku naszego ciała. Niekażdy bywa na to w jednym stopniu wrażliwym, lecz kto tylko przebywał pod zwrotnikami, ten doznaje tego dziwnego uczucia nawet wtedy, gdy nieruchomość powietrza nie dosięga punktu kulminacyjnego; przekonał nas piętego dnia poranek, że podczas nocy byliśmy otoczeni potężnym wałem mgły ciemno-czerwonej. Na północy horyzontu uwidoczniły się przez chwilę maszty jakiegoś okrętu i znikły, potęgując jeszcze więcej swem zjawiskiem i zanikiem światłości owego martwego spokoju, w jakim byliśmy pogrążeni. Mgła była tak gęsta, że nie mogliśmy dojrzeć słońca na niebie. Znękanym, strudzonym, bezwładnym, ległem na pokładzie zmrzuwszy oczy. W tem poczułem na spoczonej twarzy jakieś tchnienie; był-że to powiew wietrzyku? Nie, to tylko westchnienie powietrza prącego na żagiel. Zamknąłem powieki i znów poczułem lekki przewiew powietrza, połączonej z cichym szmerem. Powstałem. Na gładką powierzchnię wody wystąpiły piętna do plam podobne, przypominające te, jakie pozostawia po sobie oddech ludzki na zwierciadle. Piętna te stawały się coraz wyrazistszemi i z wolna przetwarzały się w zmarszczki. Co to takiego? Na grzbiecie jednej fali słyhać pękającą cę pęcherzyki powietrza! A tam, tam dalej, witał nam biała piano! Jedna, druga, dziesiąta, setna, coraz więcej plam pienistych przybywa: i oto już pokryły całe morze. Kapitan statku rozpoznawszy kierunek wiatru wydaje rozkazy w celu odpowiedniego rozpięcia i pochylenia żagli. Gromkie nawoływania majtków, oraz krótki, urywany kłopot rej uderzających o maszty, łączą się z tonami, jakie wyrzuca ze swych piersi ocean wspólnie z wichrem. Woda już nie bije melancholijnie monotonnie o boki okrętu, lecz wydaje odgłos melodyjny; okręt posuwa się szybko naprzód, unosząc nas ze szlaku martwoty. Dzięki wam za to wichry i fale!

Dopłynęliśmy wreszcie do strefy, w której przez cały dzień wieje lekki, swawolny zefir, a w czasie nocy jaskrawe błyskawice rozjaśniają niebo. Wiatr wieje z kolei ze wszech stron, co zniewala majtków do nieustannej pracy. Zaledwie ustawili żagle, już potrzeba ich kierunek zmienić. Wicher ustał na chwilę z wielkiem umartwieniem kapitana; wkrótce jednak zadał z podwojoną siłą; to passat od północy ożywił okręt, wydał żagle i popycha nas naprzód. Szlak passatu stanowi pod każdym względem kontrast w strefie zwrotnikowej. Wesołość i pewien systematyczny spokojny ruch panują na pokładzie, strony te bowiem najgościnniej przyjmują żeglarza. Wiatr rzadko zmienia kierunek; nie przechodzi nigdy w burzę, ani w zupełną ciszę. Zar słoneczny łagodzą obłoki, a więcej jeszcze wiatr, który w pierwszych dniach oddalania się

od równika przejmują niekiedy członki lekkiego dreszczem. Podczas operowania słońca, gromadzą się kilkakrotnie w ciągu dnia małe obłoczki, dające krótkotrwałym drobny deszczem. Morze zlekka tylko faluje, a z powodu jednostajnej siły wiatru fale jego nie wiele się od siebie różnią. O szlakach tych powiadano, że posiadają tylko barwy obojętne. Nie można temu zaprzeczyć; wszelako tu, jak i wszędzie, niema prawideł bez wyjątków, a do tych należą niezaprzeczenie fragmenta tęczy, pokrywające chwilowo niebo gęstymi pręgami poczęści tuż obok siebie ułożonemi. Niekiedy zaś błyszczą owe tęcze jasno, wyraziście, w połamanych liniach. Zwolna zabarwienie ich staje się dziwnie bogatym i oryginalnym; znikają i znowu występują. Na krańcach horyzontu tworzą się, wsparte na grzbiecie fal, słupy pryzmatyczne, przedstawiając niby ułamki szerokiego, malowniczego, frontonu bez łuków, piętrzącego się wśród zwrotnikowej zieleni i plusków afrykańskich pustyni.

Od czasu do czasu, przepływał około nas wojenny okręt portugalski. Tem mianem humorystyczni żeglarze nazwali małe pękate, workowate zwierzątko, obdarzone od natury rodzajem muskularnych masztów, opatrzone błoniastymi żaglami, które potworek ten może dowolnie rozpinąć lub zwijać. Długie, nurzające się w wodzie jego płetwy, przypominały nam wiosła. Zamiast stałej flagi, okręt ów kosmopolityczny wywiesza kolejno bandery wszech narodów. Pod innemi stopniami szerokości geograficznej widziałem to zwierzątko zabarwione pięknym perłowym lub jasno-błękitnym kolorem; tu jednak wszystkie tego rodzaju jestestwa są bez wyjątkowo ciemno-czerwone na grzbiecie, a cieliste po bokach. Pod wodą istoty te wyglądają jak plamy karminowe.

Dni biegnęły nam jednostajnie, gdy pewnego poranku zaszło zdarzenie, które żywo poruszyło całą załogę okrętową. Ponad masztem szybował ptak lądowy, nieznanym nikomu, który jednak należał niewątpliwie do mieszkańców stałego lądu. Różnica w ruchach ptaków lądowych i morskich jest tak wielką, że wpada w oko nawet najmniej bystrego obserwatora. Również odmiennym jest ich głos. Lot ptaków morskich przypomina falowanie wody; poszukując pożywienia w morzu, ptaki te wskutek przystosowywania się nabyły owych charakterystycznych zwrotów, które im są właściwe nawet wtedy, gdy wznoszą się wysoko w powietrze. Zkąd jednak pochodzą owe melancholijne smętne głosy ptaków morskich? Czy usiłują one upodobnić swój głos do szmeru morza, jak upodobniły lot do jego ruchu? Nigdy nie rozmyślał tam długo nad tą kwestyą, jak w chwili, gdy pierwszy raz usłyszał głos pingwina. Wyraża on jakby rozpaczliwą skargę człowieka tonącego. Gdy w czasie cichej nocy powtarzała się w krótkich pauzach ta pojedyncza nuta, wywierała dziwne wrażenie,—a zarazem przykre, prawie przerażające. Przechadzając się po pokładzie statku, usłyszałem głos innego przedstawiciela ptasiego rodu. Był to dźwięczny, śpiewny, pełny, przeciągły ton, rozlegający się żałośnie, niby wołanie o pomoc, zakończony frazą w wysokiej nucie, która naraz urwała się z dźwiękiem jeszcze smutniejszym, bolesniejszym. Świegot innego ptactwa wydawał się przy owych tonach szczebiotem dziecinnym w zestawieniu z oratoryum Händla. Ton ów jęczał jak skarga nieustanna, wydarta boleści jakiejś straszliwej, na którą niema lekarstwa. Nie pochycisz w tych tonach śladu rezygnacji ani nadziei, tylko ponurą rozpacz, rozpacz i nic więcej. Może się kto rozmieje, gdy powiem, że nigdy i nigdzie żaden śpiew primadonny operowej nie wzruszył mnie tak, jak owe głosy ptaków podczas ciemnej nocy na pełnem morzu. Wyda się to może nieprawdopodobnem mieszkańcom lądu, gdy powtórzę, co mi raz opowiadał kapitan, że gdy okręt jego rozbił się u brzegów bezludnej wyspy i gdy potrzeba było z wielkim wysiłkiem budować czółno, energia nieopuszczająca tego człowieka na chwilę, odbiegała go, jak tylko posłyszał ów smutny głos ptaków. Opuszczał wówczas ręce, oddając się rozpacz.

Tymczasem ptak lądowy szybował nad naszymi



masztami. Zkąd przywędrował? co go zagnało na obce i wrogię mu morze? Czy chce nas powitać? Teraz dopiero spostrzegłem, że woda zmieniła swą barwę; z błękitno-zielonej stała się szmaragdową, jakby chciała odtwarzać daleki brzeg zarosły bujną trawą. Lekki wietrzyk przynosił nam świeżą woń pól i lasów. Pod jego ożywczym tchnieniem nagie słupy masztów zdały się zadrzewiać korą i liśćmi. W sercu mojem zaczęła rozbudzać się tęsknota za dalekimi niwami i lasami ojczystej ziemi. Wnoszę, że nie tylko ja jeden, lecz każdy z podróżnych na statku odczuwał te same wrażenia. Spojrzałem przed siebie. Cóż to za ciemny obłok? po morzu pływa drzewo; obłok coraz wyżej występuje. Ach! to ląd—ziemia! To Kalifornia — rzekł mi kapitan okrętu. Na widok tych brzegów zdawało mi się, że byłem dotąd bezcielesnym duchem, który w końcu odszukał swą powłokę, swe schronienie. Kto wciąż wielu a wielu miesięcy nie widział nic więcej, prócz wody i nieba, ten tylko pojąć może, jak rozkoszne uczucie przejmują pierś człowieka w chwili, gdy na krańcach horyzontu zarysują się przed jego oczyma brzeg lądu.

Płynęliśmy chwilami tak blisko brzegów, że słyszeć się dawał szum fal rozbijających się o skały. Odgłos ten jest wielce melodyjnym; zaiste, ocean posiadać musi słuch muzyczny, spiewa bowiem swą odwieczną nieskończoną pieśń z niewypowiedzianą pełnią i rozmaitością tonów. Gdy się wsłuchiwałem w tę muzykę, stawałem sobie pytanie: Jeżeli Pytagoras słuchając uderzeń młota o kowadło, wpadł na pomysł zbudowania arfy eolskiej, to kto wie, czy Ktesibius nie poznał tajemnic organów, wsłuchując się w muzykę oceanu? Tu bowiem brzmi nie tylko bas uderzającej silnie fali, ale nadto czułe ucho pochwyti dźwięki tenoru, altu, sopranu, dające się posłyszeć w chwili, gdy fala rozbija się na piasku pobrzeżnym.

Sternik stawał często obok mnie, wsłuchując się poraz pierwszy z przyjemnością w harmonijne tony fal morskich.—jak mi to wyznał—dotąd bowiem nie zwracał—mówił—na tę muzykę żarnej uwagi. Zaiste, ocean posiada wiele, bardzo wiele czarów; potrzeba jednak umieć je wykryć i odczuć. Morze obdarza człowieka z wykształconym umysłem tyluż estetycznymi rokoszami, co i ziemia, nie jest zaś bynajmniej jednostajnym, jak mu to często zarzucają. Potrzeba tylko, chcąc odczuć piękno jego powabów, zrozumieć je, — potrzeba się żyć, zaprzyjaźnić z morzem.

## DROBNE LISTKI.

— **Denise**, znany dramat Dumasa syna, doczekał się w d. 7 bieżącego miesiąca setnego przedstawienia. Autor rozdał przy tej okoliczności wszystkim aktorom, wchodzącym w skład sztuki, kopie swego dzieła, w którym wszystkie znaczniejsze ustępy są własnoręcznie pisane przez niego. Czy to nie pycha wobec takiego utworu, jak „Denise?”

— **Doktoressa**, tendencyjna komedia, grywana w Paryżkim teatrze „Gymnase“, chociaż bardzo słaba, jako utwór dramatyczny, ma takie powodzenie, że przedstawienia sztuk innych, już zapowiedzianych, musiało zostać odsuniętem na kilka miesięcy.

— **Zofia Menter**, która przez spadek otrzyma-

ny z zapisu jakiegoś barona z Inflanckiego, stała się ogromnie bogatą, zamieszkała w Tyrolu zamek Itter, gdzie w pierwszych dniach tego miesiąca przyjmowała w gościnę przybyłego Liszta. Zabawił on dni kilka, wstając zawsze o godzinie czwartej rano i pracując do wpół do ósmej, w którym to czasie udawał się na mszę, a po wysłuchaniu jej i spożyciu śniadania mistrz wracał do pracy i trwał w niej do południa. Jest to stały tryb jego życia.

— **Henryk Gréville** to jest powieściopisarka francuzka, znana pod tym pseudonimem, wyjechała z mężem do Ameryki, gdzie oczekiwano jej przybycia do Bostonu w dniu 9-m bież. miesiąca. Ma ona zabawić tam kilka miesięcy i mieć cały szereg odczytów o społecznym, literackim i artystycznym, rodzinnym, politycznym życiu Francji.

— **Powieść bez tytułu**, to jest powieść, której tytułu nie śmie wypisać prasa uczciwsza, wyszła świeżo w Paryżu. Tak postąpiło *Révue Littéraire*, przyznając się poprostu do faktu, że uczucie obyczajności nie pozwala na to. Dlaczego przecież krytyk-sprawozdawca wspomina o takiej książce? Dla tego—brzmi odpowiedź—że o niej mówią w Paryżu, gdzie ukazanie się jej sprawiło wrażenie i jest literackim wypadkiem chwili... Czy nie dla takiej to literatury, nie dla takich obyczajów, Francya nosi dziś żalobę po Alzacy i Lotaryngii, i zeszała ze stanowiska swego na czele cywilizacji? Autorem tej powieści, nienazwanej przez ludzi uczciwych jest niejaki Emil Bergerat, którego jedną sztukę odrzucił teatr Komedyi Francuzkiej, drugą Odeon. Wziął się więc do powieści.

— **Ugo Foscolo** dom rodzinny w mieście Zante, w którym przyszedł na świat w 1778 r., miał być rozebrany, jako grożący zawaleniem. Ale protest, złożony przez wielbicieli szlachetnego poety i patrioty, został uwzględnionym. Gmina miasta nabyła dom, aby go podtrzymać przeciw ruinie i zamienić na Muzeum Foscolo.

— **Pomnik Longfellowa**, mający stanąć w Portland, ma być wzniesionym podług wzoru amerykańskiego rzeźbiarza, Franklina Simmons, który otrzymał pierwszeństwo na konkursie projektów, rozpisany przez komitet pomnikowy. Poeta jest przedstawiony w wieku lat średnich, który był momentem jego najwyższej twórczości poetycznej;

siedzi na krześle kuralnem i trzyma w ręku zwit papirów.

— **Porucznik Greely**, podróżnik znany światu z tragicznej wyprawy do Bieguna Północnego, przesłał towarzystwu rolniczemu Stanu Massachusetts list, w którym donosi, że, przebywając okolice, posunięte daleko na północ, spotykał licznie dzikie owce: szerokogłowe, z wielkimi rogami, jak u wołów, z ogonami podobnymi do końskich. Wełna ich bardzo obfita, bardzo długa i gęsta, jest szczególnie miękka, i delikatna w stopniu wyższym, niż u merinosów. Przyniesienie tego nowego gatunku byłoby pożytecznem.

— **Odpowiedzialność oworalna we śnie**—to przedmiot ostatnich studiów uczonego francuzkiego pisarza, autora *Historji filozofji kartezjańskiej*, Fran. Bouillier. Czy sny nie są w części wynikiem stanu myśli i uczuć śpiącego, oraz sposobu w jaki odbierał on wrażenia zewnętrzne w czasie, poprzedzającym sen? Sen nie znieczula nas zupełnie, nie odbiera nam całej władzy odczuwania tego, co nas wtedy dotyka, i zimno, ciepło, światło, hałas, ruch jakiś wkoło nas, dają nam się odczuwać, i równie jak stan naszego zdrowia wpływają na tworzenie się obrazów sennych, na ich koloryt. Ale obok tego działa niemniej stan naszych myśli i uczuć na jawie, i łącząc się ze przewidzionemi wyżej przyczynami, stanowi materiał marzeń sennych. Z tej przyczyny inaczej śni człowiek uczciwy, szlachetny, a inaczej zły i zepsuty.—„Powiedz mi, co ci się śni, a powiem ci kto jesteś...” — pisze Bouillier, powołując się przytem na powagę myślicieli innych i przytacza słowa Montaigne'a: — „Dusza nasza tak zatwierdza nasze czyny senne, jak przyzwala na nie w dzień.” Stary angielski pisarz Addison w tem znaczeniu każe zastanawiać się rano nad marzeniami ubiegłej nocy, bo rzuci to światło dodatkowe na zbadanie naszego moralnego stanu w dniu poprzedzającym. W wychowaniu wskazówki te mogą mieć znaczenie swoje.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

Bezprzykładnie zniżona cena.

## PISMO ŚWIĘTE Starego i Nowego Testamentu

przekład KS. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

z komentarzem podług ALLIOLI.

Wydanie ozdobione 230 drzeworytami wielkimi  
podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

**GUSTAWA DORÉ**

w wielkich dwóch tomach

Cena bezprzykładnie zniżona

Obecnie tylko Rub. sr. 21—(dotychczasowa cena Rs. 32), z przesyłką Rs. 23.

W oprawie w płótno angielskie Rs. 27, z przesyłką Rs. 30.

W oprawie ozdobnej w płótno ang. ze skórzonym grzbietem Rs. 30, z przesyłką Rs. 33.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Złamana tarcza, (Powieść). — Zasadnicze różnice między szkołą chłopców a szkołą dziewcząt, przez Maryą Pnicką. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Z działu przyrody, przez W. Niewiadomskiego. — Na Oceanie Spokojnym, (z niemieckiego), dokończenie. — **Drobne listki.**

**Dodatek** obejmuje: Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 26 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie** — **Dyspozycją stołu.**



## DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 47

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

## PRZEGLĄD MÓD

Jeszcze kapelusze. — Modele u pana Hersego — Ranne ubrania paryzkie „matinee“, w składzie płótna krajowego Żyrardów.

Nieskończyliśmy w przeglądzie przeszłym z kapelusami: W składzie pana Weigta, róg Krakowskiego-Przedmieścia i Królewskiej ulicy, widzieliśmy zupełnie odrębne i oryginalne kapelusze z felpy, czyli z jedwabnego materiału, naśladowującego najzupełniej męskie cylindry, z tą różnicą, że te były w różnych kolorach: w kolorze skóry, zielonym, ciemnoniebieskim — wszystkie bardzo śpiczaste przybrane jednym lub dwoma ptakami, mieszczącymi się jeden nad drugim. Jeden, angielski fason „tricorné“, był oryginalny — z przodu zachodził szerokim denkiem na oczy, a w tyle ścięty równo, miał bogate przybranie ze skrzydeł i wstążek i o ile w ręku fason ten był brzydki, o tyle na głowie bardzo ładnie się przedstawiał. Najładniejsze jednak były berety wełniane, przyswojone tualecie kobiecej najpierw przez Cesarzową Austriacką, a następnie i całą arystokrację wiedeńską. Są to czapeczki, okrągłe, głębokie, wysokie jak pół-cylindry — główka okrągła, wywinięta szeroko i obłożona jakimś grubszym wełnianym materiałem, a przybrane albo chusteczką w pasy ze złotem przerabianą, gust bizantyjski, który pozostał jeszcze po dramacie Sardou „Teodora“, albo trzema dużymi

cieniowanymi pomponami; różnorodność była wielka. Takie berety i cieplejsze i właściwsze na zimę, a co najwięcej o wiele estetyczniejsze od wysokich śpiczastych i mało co osłaniających przed zimnem kapeluszy.

my też tam mnóstwo rzeczy. Dwa głównie dziś kolory na kostiumy są w użyciu: brązowy i szafir — jest to nie wyraźny kolor ślicznego kamienia szafirem zwanego; tego ostatniego koloru był kostium z wigoniu i aksamitu, przód naszyty w pasy tureckie haftowane na aksamicie — boki aksamitne, w tyle długa draperya, spadająca aż na falbankę jedwabnej spódniczki, bo choć dziś mało się używa jedwabiu, jednak spodnie spódniczki są zawsze jedwabne, a choć to ta długa draperya była prosta, jednak formowała jakąś fałlistość. W ogóle bowiem wszystkie draperye są dziś podłużne, bez wyraźnego ułożenia, ani też bufowania — wszystko to ni by prostota, a jednak trudno nawet opisać te śliczne a dziwne połączenia. I tak: spódnica brązowa faille, na to tiunika sukienka w dwóch cieniach, jak Francuzi mówią: „à deux tons“, przód ubrany pasami aksamitnymi, przyszytymi z dwóch stron złotą nitką, do tego stanik w stylu Ludwika XV, z dużą klapą aksamitną i zabotem ze wstążki pasowej; w tyle krótki bardzo, zakończony małym karoczkem z trzech bufek okrągłych sukiennych.

Inny brązowy, był z kaszmiru i aksamitu, w tyle dwa wyłogi czyli ranwersy z aksamitu, układane w grube fałdy — obwód spódnicy u kostiumów tegorocznych, jest 4 łokcie. Śliczny był kostium z granatowego nowego materiału angielskiego, zwanego „loden“ grubego, rzadkiego, a jednak miękkiego; draperya i stanik były



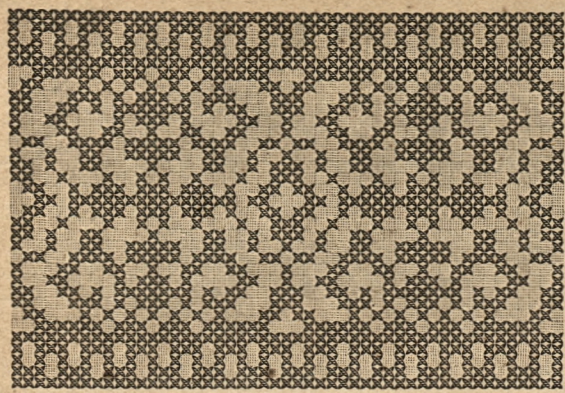
Nr 1. Suknia z gładkiej materyi i brokateli  
Opis pierw. str. 7 bl.

Nr 2. Suknia dla młodej osoby.  
Opis pierw. str. tabl.

Nr 3. Suknia z satin-merveilleux i gazy przerabianej sznelą. Opis pier. str. tab.

W naszych ciężkich obecnych finansowych stosunkach — niemal jeden magazyn sprowadzający jeszcze modele sukien i kostiumów w większej liczbie, jest magazyn pana Hersego. Oglądaliś-

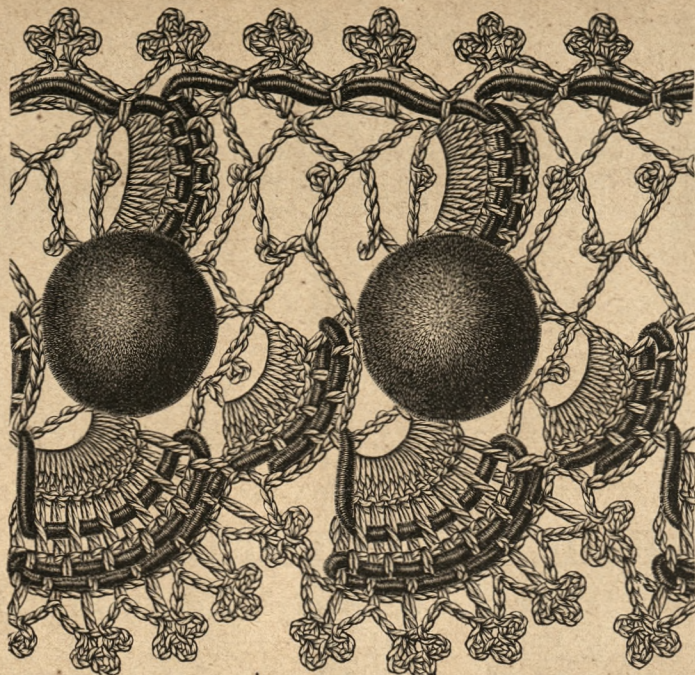




Nr 4. Szlaczek do kołder, poduszek i t. p. krzyżowym ściegiem.

gładkie, a spódniczka z pkinu w paski — kolorowe perskie — wszystko z wypustką pasową jedwabną.

Dla młodych pań bardzo będzie noszone „voile“ przerabiane w paski różowe i mchowe „mosue“ — śliczną taką sukienkę pokazywano nam przybraną puklami aksamitki koloru „saumon“. Łosiosa — staniak wycięty i z przodu i z tyłu spiczasto, podłożony koronkową bluzką, wkładał się pod spódniczkę, na którą szła szeroka plisowana aksamitna szarfa, spadająca w tyle, na ramionach spadały długie pukle aksamitne. Ze strojnych kostiumów na zimowe rauty, pokazywano nam koronkowy gruby, koloru szpagatu na różowej „glacé“, cały przód naszyty bąbkami szklanymi spiczastymi koloru miedziano-fioletowego, kokardy różowe morowe zdobiły cały kostium. W ogóle suknie z grubych koronek bardzo będą używane tej zimy, czyli tego długiego karnawału. Widzieliśmy już bardzo wiele takich koronek w składzie nowości pana Makowskiego, które mimo że są koronką, zbyt drogo nie wypadną. Ale nie tylko suknie strojne są nam potrzebne, być w domu wygodnie, a razem ładnie ubraną, to też rzecz i bardzo przyjemna i nawet należąca do tych konieczności, których zaniedbywać nie należy. Spokaliśmy w sklepie składu Żyrardowskiego tak zwane: „matinée“, strój—ubiór z flanelki niebieskiej.



Nr 6. Koronka do r. 7 robotą szydełkową. Wielkość naturalna.



Nr 5. Szlaczek do kołder, poduszki t. p. krzyżowym i Holbeina ściegiem.

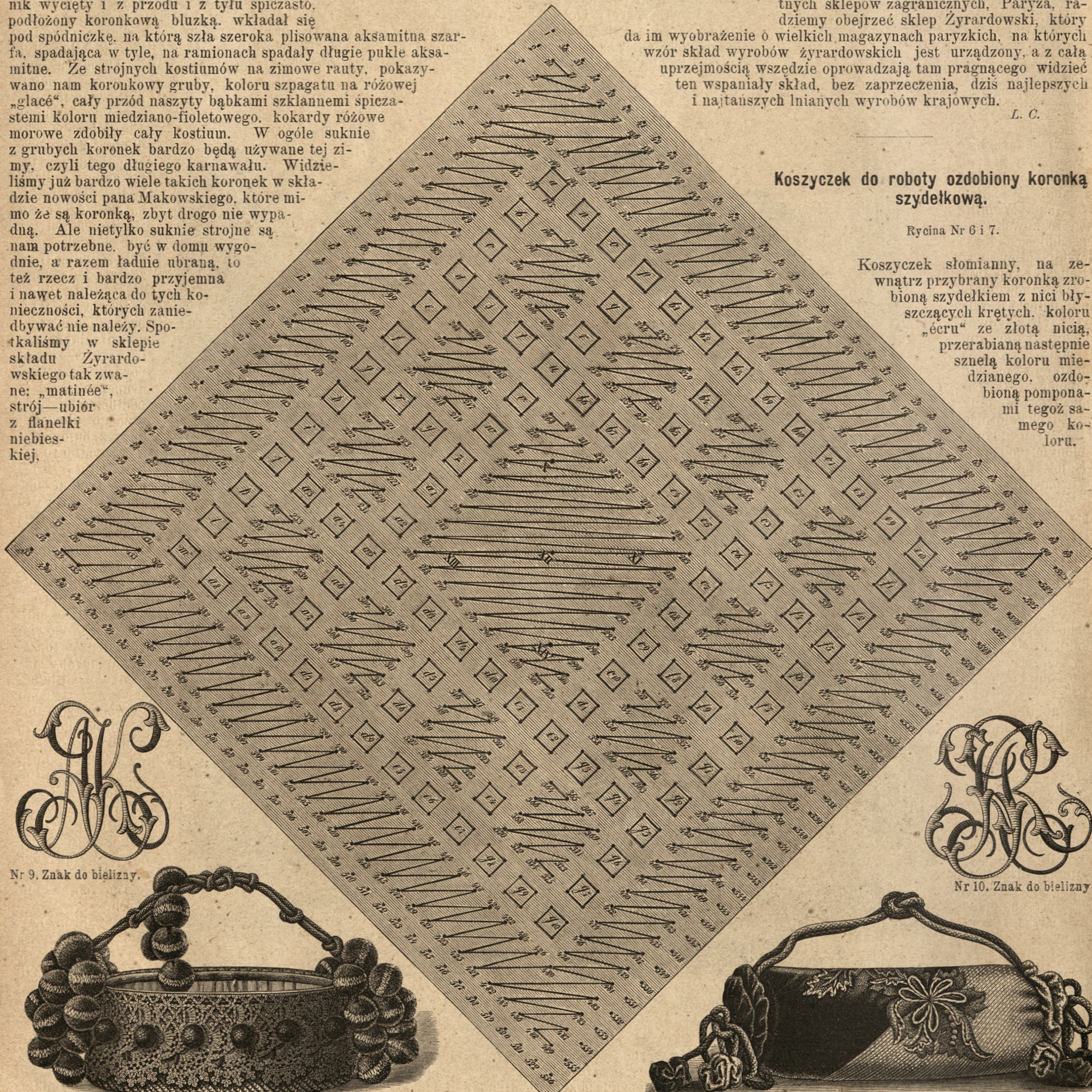
krótki szlafroczek — otwierający się niby na białej flanelowej spódniczce, przydziergany do niej — duży marynarski kołnierz, podwiązany był prostym białym szalikiem z muślinu indyjskiego na dwie duże kokardy — takie same przewiązanie przechodziło przez figurę, także na dwie kokardy związane. Czytelniczkom, które nie znają świetnych sklepów zagranicznych, Paryża, radziemy obejrzeć sklep Żyrardowski, który da im wyobrażenie o wielkich magazynach paryżkich, na których wzór skład wyrobów żyrardowskich jest urządzony, a z całą uprzejmością wszędzie oprowadzają tam pragnącego widzieć ten wspaniały skład, bez zaprzeczenia, dziś najlepszych i najtańszych lnianych wyrobów krajowych.

L. C.

### Koszyczek do roboty ozdobiony koronką szydełkową.

Rycina Nr 6 i 7.

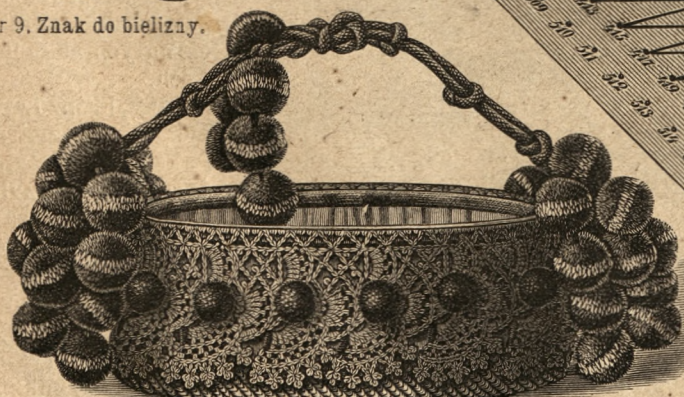
Koszyczek słomiany, na zewnątrz przybrany koronką zrobioną szydełkiem z nici błyszczących krętych, koloru „écru“ ze złotą nicią, przerabianą następnie sznelą koloru miedzianego, ozdobioną pomponami tegoż samego koloru.



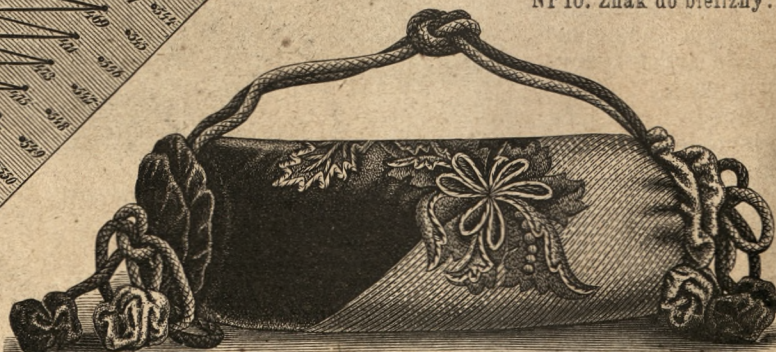
Nr 9. Znak do bielizny.



Nr 10. Znak do bielizny.



Nr 7. Koszyk do roboty z szydełkową koronką. (Do ryc. 6).



Nr 8. Wałek do oparcia głowy aplikacją i atłasem.

Nr 11. Kwadrat do koronki klockowej ryc. 2 w Bl. Nr 48. Powiększony.



W środku koszyczek jest wysłany na dnie miękko na wacie atlasem, na gładko położonym, z boku zaś, trochę przymarszczonym, koloru miedzianego, brzeg ozdobiony ukosami z pluszu pawiego koloru. Miejsce pałączka zastępują jedwabne sznury, powiązane w węzły podług ryciny, a przybrane z dwóch boków pęczkami pomponów z wschodniej włóczki koloru miedzianego i jedwabiu pawiego koloru. Koronka robi się sposobem następującym: rozpocząć od 29 ocz. Kolej 1: Najbliższe 10 ocz. opuścić, 1 ścis. ocz. w następne ocz., \* 3 pow. ocz., 1 pikot (t. j. 5 pow. o. i 1 ścis. ocz. w 1 z nich) 5 o. pow., 8 ocz. opuścić, 1 ścis. ocz. w następne ocz., od \* powtórzyć. Kolej 2: 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w ocz. przed pik. po-

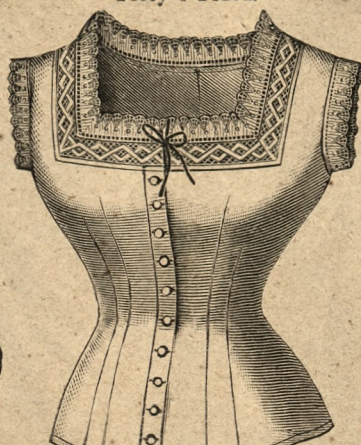


Nr 12 i 13. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 4 lat.  
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 20 do 25  
Plecy i Przód.

przedniej kolei, 4 pow. o., 1 ści. o. w ostatnie z 5 pow. o., 3 pow. o., 1 pik., 5 pow. o., 1 ści. o., w pow. o. po słu., 3 pow. o., 1 pik., 5 pow. o., 1 ści. o. w ostatnie pow. ocz. po słupkach. Kolej 5: \* 3 pow. o., 1 pik., 5 pow. o., 1 ści. o. w ocz. przed ostatnim pik., od \* jeszcze raz powtórzyć, potem 2 pow. o., 1 pik., 2 pow. o., 1 ści. o. w przedostatnie ści. o., robotę odwrócić, 7 o. pow., 1 ści. o. w drugie ści. o., robotę odwrócić i ści. o. pół-słup., 10 słu. w poprzednie 7 pow. ocz., 1 słu. w następne pow. ocz. po słu., 10 razy naprzemian: 1 pow. ocz. i 1 słu. w następne pow. ocz. Kolej 6: \* 2 pow. o., 1 słu. w najbliższe pow. ocz. poprzedniej kolei, 1 potrójny pik. (na który robi się naprzemian: 3 razy 4 pow. ocz., 1 ści. ocz. w poprzednie ocz.) potem



Nr 15. Suknia sukienka oszyta futrem. Plecy.  
(Do ryc. 24 w Bl. Nr 48).



Nr 14. Stanik pod suknię.  
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 46-49.



Nr 16. Suknia z kaszmiru. Plecy.  
(Do r. 22 w Bl. Nr 48). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1-12.



Nr 18. Suknia z dopasowanych chustek. Plecy. (Do ryc. 20).

Nr 17. Suknia z dyagonalu. Przód.  
(Do ryc. 21 w Bl. Nr 48).  
Opis pierw. str. tabl.

przedniej kolei 3 pow. ocz., 1 pik. 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w o. przed drugim pik., 2 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 3 z najbliższych pow. ocz. następujących po ści. ocz. Kolej 3: 7 pow. o. 1 ści. ocz. w ści. ocz. następujące po pik. poprzedniej kolei, robotę odwrócić i robić z powrotem 1 o. ści., 1 pół-słupek, 10 słu. w poprzednie 7 pow. ocz., robotę odwrócić, 4 pow. ocz., następne 2 słu. opuścić, 7 słu. po każdym 1 pow. ocz., w następujące 7 słu., 4 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 4 z następujących 5 pow. ocz. poprzedniej kolei, 3 pow. o., 1 pik., 5 pow. o., 12 słu. w następne 7 pow. ocz. Kolej 4: 4 pow. ocz., 11 słu. po każdym 1 ści. ocz. w 11 słu. po-



Nr 19. Suknia z aksamitu i zimowej etaminy.  
Opis odwr. str. tabl.

Nr 20. Suknia z dopasowanych chustek.  
Przód. (Do r. 18). Opis odwr. str. tabl.

1 ści. ocz. w poprzedni słu., 2 pow. ocz., 1 ści. ocz. w następne pow. ocz., od \* powtórzyć 4 razy, poczem 3 pow. ocz., 1 słu. w 3 z 10 słu., 6 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słu. w następne słu., 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w ocz. poprzedzające ostatni pikot, 3 pow. ocz., 1 pikot, 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 4 z najbliższych 5 pow. ocz. Kolej 7: 3 pow. ocz., 1 pikot, 5 pow. ocz.: 1 ści. ocz. w ocz. poprzedzające pikot poprzedniej kolei, 3 pow. ocz., 1 pikot, 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w pow. ocz. następne po pik.: 3 pow. ocz., 1 pik., 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w ostatnie pow. ocz., przed słupkami. Powtarza się ciągle 2 do 7 kolei; za każdym



Nr 21. Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Plecy. (Do ryc. 22). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13-19.



Nr 22. Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Przód. (Do ryc. 21).



razem kończąc 5 kolej jeszcze jedno ścis. ocz. w środkowy pikot ostatniego potrójnego pikota. U górnego brzegu roboty dorabia się wzdłuż jedną kolej. odpowiadającą kolei 6, od początku takowej, aż gdzie od \* trzeba powtórzyć.

### Walek do oparcia głowy.

Rycina Nr 7.

Walek haftowany na pluszu pawiego koloru i na złotej materii, ozdobiony na środku haftowaną gałązką kwiatów, wykończony rozetami i sznurami. Dla odrobienia takowego, potrzeba dwa trójkątne kawałki, jeden pluszu, drugi złotej materii, każdy w prostej linii mający 50 cent. zeszyć razem ukosami i przenieść mający się wykonać haft, podkładając takowy białym muślinem i układać liście z jasno-zielonego pluszu, otoczyć każdy listek sznurkiem jedwabnym koloru jasno-oliwkowego, z nitką złotą, żyłki ze szneli tegoż



Nr 23. Suknia z kaszmiru.  
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 35—39.

Nr 24. Suknia z materii „chiné”.  
Opis odwr. str. tabl.

pasową rozpolowioną filozelą, atlas kiem i grubym sznurkiem się otacza. Na zewnętrzną część takowego używa się jedwabiu „soie-bouclée” w kilku cieniach i naszywa nim ściegami poprzecznymi z cieniutkiego jedwabiu, przymocowując tak, ażeby wrażenie atlasowego haftu sprawiało. W tym celu należy przedtem haft grubo bawełną podłożyć. Po wykończeniu haftu zeszywa się walek przymocowując z każdej strony złotem przerabiany sznur pawiego koloru, związany podług ryciny, dodają rozety i pukle ze sznura, którego końce zakończone są z każdej strony dwoma rozetkami małymi z pluszu.

## Przepisy gospodarskie.

### Suflet z powideł.

Gdy są białka pozostałe od szodonu lub innego użycia żółtek, zrobić leżącą z powideł. Trzy łyżki powideł rozetrzeć z trzema łyżkami dobrej kwaśnej śmietany, wsypać łyżkę cukru, a jeżeli powidła kwaśne, to dwie łyżki, pół łyżki mąki kartoflanej — wiercić 20 minut — dołożyć dobierając po trochu pianę z pięciu lub sześciu białek, wylać na porcelanowy lub blaszany angielski półmisek, posypać migdałami i wstawić na małe pół godziny w wolny piec.

L. C.

## Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z włoszczyzny „purée”.
2. Paszteciki w muszelkach.
3. Sztukamięsa opiekana z biszamelem.
4. Marchewka z grzankami.
5. Kuropatwy ze śliwkami marynowanymi.

## KOESPONDENCYE

Pani Leszczyńskiej z Tarnopola.

Najnowszy mój i najlepszy przepis na „pain-de-gibier”, był drukowany w r. z. w Bluszczu — znajduje się w 13 edycji Obiadów.

Stalej prenumeratorko.

Nie znam środka żądane go przez panią, ale w składzie perfumeryi i kosmetyków pana Lipinka, róg Niecałej i Wierzbowej Nr 1, znajdzie pani niezawodnie to, czego pani potrzeba.



Nr 25. Płaszcz do deszczu z angielskiego materiału.  
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 28—34

koloru, załamania zaś kolorową sznelą, przymocować poprzecznymi ściegami z cienkiego jedwabiu. Środkowa część kwiatu haftuje się ciemno-



Nr 26. Okrycie z „damas-frisé” obłożone futrem.  
Opis odwr. str. tabl.

Tablica krojów dołączona do dzisiejszego numeru, służy też do N-ru 48 Bluszczu.